Stron 12

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 25 zł.

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI | Łódź, 28 marca 1949 r. | Nr 13 (192)

W NUMERZE
między innymi:

Władysław Błachut

„NIEZALEŻNA PARTIA CHŁOPSKA"

W dniach, które nas zbliżają do zjednoczenia się SL-u i PSL-u w jedno stronnictwo ludowe słusznym jest przypomnieć tradycję myśli politycznej i działania politycznego „Niezależnej Partii Chłopskiej". Dzieli nas perspektywa historyczna od zamachu majowego, od rządów sanacyjnych, od faszyzacji w ostatnich latach II Rzplitej, od klęski września i zdrady sanacji, od lat wojny i frymarczenia przyszłą Polską na rzecz anglo-amerykańskiego protektoratu. Dzieli nas nawet perspektywa od mikołajczykowskich prób podarowania Polski „Zachodowi" jako „drobnomieszczańskiej demokracji" (kiedy już robotnicy i chłopi „zwęzili" naród, znosząc jego burżuazyjne i obszarnicze piętno). Dzieli nas już perspektywa od jego ucieczki i zdrady. Im dalej w przeszłość, aż do lat międzywojennych, tym jaśniejsze i powszechniej jednakowe możemy wydać sądy. A na fundamencie tamtych wydarzeń i sytuacji budowały się dalsze koleje losu narodowego.

Z tamtych lat można z kolei wyprowadzić perspektywę historyczną na nasze dzisiaj. W potopie i zamęcie ówczesnej myśli politycznej stronnictw i partii z długą już wówczas tradycją, z imponującą liczbą mandatów „Niezależna Partia Chłopska" zadziwić dzisiaj musi nas, jak ta jedyna gwiazda wśród kroci gwiazd, która dla rybaków na morzu jest symbolem życia, bo jedna jedyna daje bezbłędnie KIERUNEK.

Wśród gwiazd magicznych chłopskiego kalejdoskopu stronnictw jej światło zapalone wówczas (lata 1924—27) w czasach przełomu ukazuje po latach, że wówczas dawało jedyny, właściwy dla wsi kierunek i że on jest dzisiaj jedynym, właściwym kierunkiem jednoczącym ludowy ruch chłopski.

I. PROGRAM N. P. CH.

„Niezależny Chłop", organ polityczny „Niezależnej Partii Chłopskiej", obejmującej w ówczesnym rozbitym i ustawicznie rozpadającym się na grupy i grupki polityczne sejmie siedmiu posłów z drem A. Fiderkiewiczem na czele, w n-rze 1 z dnia 27. 12. 1926, w artykule wstępnym pt. „Słońce zwycięży" pisał, co następuje:

...„Dopóki chłop nie zdobędzie ziemi karmicielki, którą mu prawem zbójeckim zabrano, dopóki nie wyzwoli się razem z robotnikiem z jarzma kapitalistycznego, nie ma dla niego święta...

Chłopi i robotnicy! Nie słuchajcie tych, którzy wam ukazują gwiazdkę w niebie, aby łatwiej pozbawić was bytu ludzkiego na ziemi.

Niechaj wszyscy wydziedziczeni, którym zabrano owoce pracy, których pozbawiono radości życia i zepchnięto w ciemną otchłań nędzy, zjednoczą się koło sztandaru walki. Niech mieszkańcy wiejskich chat staną w jednym szeregu z mieszkańcami miejskich suteryn i poddaszy. Niech się ziści rzetelna ludowa jedność, a zajaśnieje słońce wolności. Przezwyciężona zostanie zachłanna noc, a pierwszy dzień zwycięstwa stanie się świętem chłopa i robotnika...

Niewchodzenie w żadne stosunki, sojusze, kombinacje ze stronnictwami reakcji lub zdrady, a więc i z Chadecją i z Piastem. Walka nieugięta w Sejmie i poza Sejmem z tymi stronnictwami aż do chwili przejścia władzy w ręce rządu chłopsko-robotniczego. Uznanie, że prawdziwy patriotyzm, prawdziwe niepodległościowe stanowisko polega na śmiałym, bez kompromisu i ugody wywalczaniu władzy w imię interesów chłopów i robotników, na zdecydowanie radykalnych krokach, by władza pańska w ciężkich dla siebie chwilach nie mogła się nie tylko ratować, lecz i kiedykolwiek powrócić...

(W dziedzinie programowej):

Walka o ziemię dla chłopów bez wykupu. Upaństwowienie fabryk i kopalni. Rząd chłopsko-robotniczy, a więc natychmiastowy sojusz chłopsko-robotniczy, zaprzestanie podjudzania na wiecach i w gazetach chłopów przeciwko robotnikom i robotników przeciwko chłopom. Zniesienie kosztownej armii koszarowej i zaprowadzenie systemu milicyjnego. Zmniejszenie policji do 1/4. Uznanie wszystkich partii za legalne. Zaprzestanie prześladowań partii opozycyjnych...

Uznanie prawa bratnich narodów ukraińskiego i białoruskiego do **stanowienia o własnym losie. Sojusz polityczny i gospodarczy z Sowietami...**

...Czyż może szczery ludowiec i radykał być przeciwny choć jednemu z wyliczonych wyżej postulatów? Czyż może być inna droga ratunku dla ludu pracującego na wsi i w mieście? Czyż może być inny sposób ocalenia Polski **przed rozprzedaniem jej kapitalistom zagranicznym, zatraceniem ostatecznym jej niepodległości?"**

„Niezależny Chłop" atakuje ostro i zawzięcie przywódców partii politycznych uchodzących za postępowe, jak „PPS", „Wyzwolenie" a potem „Stronnictwo Chłopskie" (utworzone po wystąpieniu 16 posłów z „Wyzwolenia"), które w tym czasie udzielały poparcia rządowi koalicyjnemu hr. Skrzyńskiego i przegłosowały na niekorzyść mas chłopskich reakcyjny projekt reformy rolnej (parcelacja dobrowolna i za pełnym odszkodowaniem, zamiast zapowiadanej w 1920 roku parcelacji przymusowej za częściowym odszkodowaniem).

„Niezależny Chłop" w n-rze 1 ugodowe i wrogie dla mas robotniczych w miastach tendencje „Wyzwolenia" tak określa:

...„Program „Wyzwolenia" jest nie tylko niedorzeczny. Jest to program zdrady chłopskiej. Czyż nie jest jasne, że chłop i robotnik jest jednakowo krzywdzony przez burżuazję, że jednakowo pada ofiarą „kryzysu gospodarczego? **Czyż nie jest jasne, że wyjściem może być tylko wspólna walka chłopów i robotników ze wspólnym wrogiem, to jest z kapitalizmem? Dopóki zrozumienie tej oczywistej prawdy nie utoruje sobie drogi do mózgów wszystkich bez wyjątku gnębionych i wyzyskiwanych, póty nie uwolnią się spod jarzma wyzysku i ucisku"...**

II. KORESPONDENCJE I GŁOSY ZE WSI

Piękne i demokratyczne hasła N. P. Ch., prawdziwie postępowy na owe czasy program społeczno-polityczny i niezwykle bojowe stanowisko jej zwalczanych i wyrzucanych z Sejmu parlamentarzystów i działaczy, zyskały w masach proletariatu wiejskiego ogromną popularność. Ciemiężony przez system kapitalistyczny i praktyki biurokratyczne chłop małorolny i robotnik folwarczny widzą w nowej partii chłopskiej prawdziwego obrońcę i orędownika i bez zastrzeżeń udzielają jej swego poparcia. Postępowy element wsi staje się wnet nie tylko wdzięcznym konsumentem przekazywanego na łamach „Niezależnego Chłopa" słowa drukowanego, ale także swoimi niezwykle ciekawymi wypowiedziami zapełnia coraz dłuższe kolumny w tym organie. Wypowiedzi te dają nam dziś doskonały przekrój stosunków społeczno-politycznych na wsi w latach 1925—1926 i zasługują pod każdym względem na dokładniejszą analizę.

Oto ciekawy głos chłopa z Perespy, pow. Tomaszów Lubelski:

„Chłopi najmniej są oczytani i obeznani z polityką. Wiedzą tylko tyle, że im się dzieje krzywda, że są wyzyskiwani przez różnych leniuchów, darmozjadów, pasorzytów, którzy się pasą na pracy człowieka. Jak kiedyś chłopi musieli robić pańszczyznę, tak teraz zamiast na panów muszą pracować na podatki, które przychodzą mało nie co tygodnia. **Krzykaczy politycznych jest w Polsce aż się roi i wszyscy mówią że bronią sprawę chłopską, ale tej obrony wcale nie widać.**

Pokazałeś chłopie podczas wojny, że jesteś dobrym synem ojczyzny, gdyś się bił z takim samym obdartym, wynędzniałym z nędzy i głodu chłopem, a w nagrodę otrzymałeś jakąś odznakę zrobioną z bronzu wartości 35 gr. Obiecywali ci ziemię za darmo, pierwszeństwo na posady itd. Posadę i ziemię pozabierali sami dowódcy, a ty chłopie masz nieustannie wypłacać tych swoich kilka morgów i nigdy nie wypłacisz... („Niezależny Chłop", nr 2 z 1925 r.).

W podobnym duchu utrzymana jest wypowiedź działacza chłopskiego Kłopotowskiego ze wsi Koczery, powiat Bielsk Podlaski („Niezależny Chłop" nr 12 z 1926 r.):

...Będąc ochotnikiem w wojsku polskim, walczyłem za Polskę, chcąc żeby ona była wolną i niepodległą. **Zabory runęły, ale my jesteśmy jeszcze gorzej uciemiężeni naszymi rządami burżuazyjnymi.** Ale cóż począć? Nasi gospodarze po wsiach tylko wiedzą, co zjedzą, a co się dzieje w sejmie i senacie o to nie dbają. Narzekają tylko wciąż i przeklinają tę naszą Polskę ukochaną. Ale ty młodzieży wiejska nie trać chwili czasu, a czytaj gazety i książki, a doczytasz się wielkiej prawdy: Kim powinniśmy być i dlaczego żyjesz na świecie. **Bo dziś jesteśmy niewolnikami naszej burżuazji. Bo nie mamy prawa mówić nawet o naszej Polsce, bo jeżeli ktoś głosi prawdę dla ludu ciemnego, który pracuje na roli, to zaraz policja takiego aresztuje jako komunistę, że podburza ludzi przeciw państwu.**

Otóż bracia patrzcie, jak nas idealistów, którzy pracujemy dla ogółu i dobra Polski— traktują. Zrozum ludu, że na tobie cały kraj nasz stoi, a co zechcesz to zrobisz. N. P. Ch. wzywa was do czynu, nie jest to podstęp, ani oszustwo, lecz obrona ludu ciemiężonego, który pracuje na roli i bieduje. Więc organizujcie się bracia po wsiach i czytajcie gazetę „Niezależnego Chłopa". Niech żyje Polska Chłopsko-Robotnicza!"

A ileż beznadziejnej rozpaczy zawiera w sobie głos zdemobilizowanego z wojska syna chłopskiego z Tarczyna, przy ówczesnym przeludnieniu wsi oczywistego kandydata na bezrobotnego:

„...My żołnierze z 1902 rocznika, zdemobilizowani z wojska dnia 20 września 1925 jesteśmy bez pracy, którą postradaliśmy odchodząc do wojska i żyjemy jak niewolnicy, którzy nigdy światła nie widzą a pragną wolnymi być...

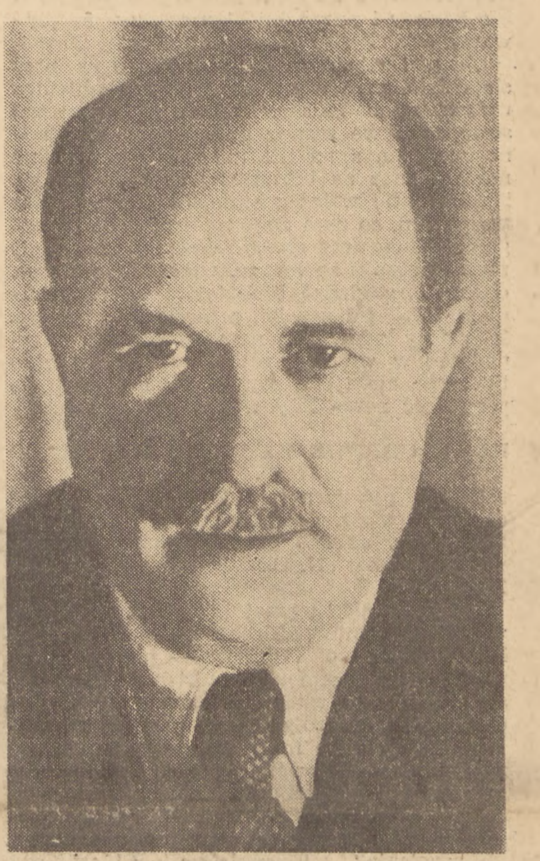
Nielepsze stosunki panują zresztą w naszym przemyśle. Oto głos płodnego korespondenta „N. Chłopa" St. Dziedzica z Borysławia:

„...Z piekła borysławskiego. Przemysł naftowy stacza się w przepaść. Połowę robotników wyrzucono na bruk i zapowiadane są dalsze redukcje. Ci, którzy pracują, ledwie zipią. Wypłaty przeciąga się po dwa miesiące. Sklepikarze na kredyt nie chcą dawać z powodu spadku i niepewności złotego. Lekarze mówią do robotników: odżywiajcie się lepiej, bo nie będziecie mogli pracować. Kasa chorych zawalona chorymi z wycieńczenia i psiego odżywiania. W warsztacie, gdzie normalnie pracowało 300 ludzi, pracuje dziś tylko 30 i zapowiadane są dalsze redukcje...

Mieszkania robotnicze to istne lepianki, gdzie grzyb i wszelka choroba króluje. Jakie rozgoryczenie panuje między robotnikami, to tylko ten wie, kto się między nimi obraca. Związki zawodowe rozbite przez PPS. Po Łodzi, Dąbrowie i Górnym Śląsku przyszła i do nas straszna nędza (nr 4/26).

Wszyscy korespondenci „Niezależnego Chłopa" słusznie przypisują opłakane położenie wsi i proletariatu robotniczo - chłopskiego zdradzie klasowej oderwanych od dołów działaczy chłopskich i robotniczych oraz ugodowej polityce ówczesnych partii chłopsko-robotniczych. Jedyny ratunek widzą oni w zjednoczeniu chłopsko - robotniczym, które głosi N. P. Ch. i dlatego garną się pod jej sztandary. **Daje temu wyraz m. in. Władysław Kowalski** w artykule polemizującym z polityką „Wyzwolenia" („Niezależny Chłop", nr 13, z dn. 14 3. 1926 r.):

...„Tak oto dzięki polityce ludzi małych, ludzi, którzy zbłądzili na manowce, ludzi, którzy stale są ulegli woli endecji—runął gmach przez tyle lat budowany, a została jedynie kurna chata, z której już nikt pożytku mieć nie będzie. Od trzech lat żadnej pracy klub nie prowadził i żadnego programu pracy nie posiadał. Dał się ogłupiać i ulegał ich postrachom a także endecji: demagogią zaciągał od „Piasta" i tak na cudzym rozumie żył, aż zmarł z lenistwa i niemocy...



Władysław Kowalski

...Jeśli też i to wziąć pod uwagę, że ośmielona ich uległością **endecja z „Piastem" uchwalają coraz wsteczniejsze ustawy i jeśli zważymy na ten niedopuszczalny fakt podziennego zamachu na wolność osobistą obywatela, na prześladowania kresów, jeśli jeszcze do tego dodamy nędzę okrutną chłopów w Polsce, dalej złodziejstwo na urzędach i... ano jeśli dodamy milczenie stronnictwa, które się zwało ludowe,** to jasnym chyba jest jak słońce, komu ono służyło i służy...

Kiedyśmy się 6 grudnia roku ubiegłego zbierali na posiedzenie Zarządu Głównego, z małą wiarą jechałem do Warszawy. Przedtem już mnie pół roku zwodzono, że robota się zacznie. **Nie omyliłem się zupełnie, bo oto zamiast radzić o nędzy ludzkiej zaczęto radzić już o przyszłych mandatach poselskich. Od tego dnia przestałem należeć do stronnictwa nierobów obłudnych".**

Nic dziwnego, że w tej sytuacji masy robotniczo-chłopskie coraz częściej podnoszą głos protestu, a w niektórych miejscowościach przychodzi do krwawych starć policji z bezrobotnymi.

Szczególnie charakterystyczną i trafną ocenę sytuacji społeczno-politycznej na odcinku wiejskim przynosi artykuł Andrzeja Muchy ze wsi Biskupie, pow. Krasnystaw („Niezależny Chłop" nr 22 z dnia 22 maja 1926 r.):

...„Powiada stare przysłowie, że szydła w worku nie ukryje i przysłowie to w obecnej polityce w całości się sprawdza...

Poseł Okoń powiada w swej głupiej „Sprawie", że Dziduch to złodziej koński i dolarowy, handlarz zbożowy itp. Poseł Dziduch głośno po wiecach krzyczy, że Okoń o chłopów tak dba, ażeby z nich jak najwięcej wyłudzić pieniędzy na swoje osobiste sprawy. „Wyzwolenie", delikatnie, honorowo, jak zwykle po rycersku powiada, że poseł Dąbski i całe jego stronnictwo, to chłopołapy, którzy posiadają kopalnie, fabryki itd. i dbają o chłopa tyle co pies o piątą nogę. Poseł Dąbski wraz ze swoimi kompanami pisze, prawie że na każdej stronicy swych gazet, że w „Wyzwoleniu" same panki i półpanki, szlachta i burżuje, że tylko bronią urzędników, podwyższają im pensje, a w sprawach chłopskich to wychodzą ze sali sejmowej, ażeby dać po-

le prawicy, dosyć, że zupełnie co innego robią, a co innego chłopu piszą...

Używają ugodowcy najrozmaitszych sposobów, ażeby nas chłopów nie dopuścić do zorganizowania wspólnej siły chłopsko-robotniczej... Szczują chłopów na robotników, a robotników na chłopów. Lecz próżne ugodowców wysiłki. Dokładnieśmy już zrozumieli, że zwycięstwo nasze razem z robotnikami, czy to w mieście czy na folwarku...

Muszę wam panowie z przeróżnych kramików partyjnych śmiało powiedzieć, że nie chcemy waszych gazet, ani waszych pustych słów na wiecach, bo my chłopi jak jeden mąż stajemy w jednym szeregu chłopsko-robotniczym w N. P. Ch. z gorącą wiarą, że we wspólnej pracy, przy wspólnym wysiłku cel swój, tj. władzę, ziemię, pracę i oświatę osiągniemy..."

W podobnym duchu utrzymany jest apel do chłopów i młodzieży Kazimierza Siudzińskiego ze wsi Brzeziny, pow. Koluszki („Niezależny Chłop", nr 22 z 1926 r.):

...„Bracia chłopi i robotnicy, walczyliśmy o wolną Polskę, wierząc że w niej będziemy mogli żyć lepiej, a tu po siedmiu latach tej wolności coraz gorzej i nam się dzieje. **Tysiące robotników pozostaje bez pracy i chleba, chłopi cierpią niedostatek i ciężary olbrzymie ponoszą. A tu stronncitwa chłopsko-robotnicze kosztem mas pracujących robią kariery i prowadzą konszachty z prawicą...**

Chłopi i robotnicy, otwórzmy oczy na to co się dzieje, przejmijmy się wszyscy duchem radykalizmu. Musimy znieść z powierzchni stare, fałszywe zasady burżuazyjno-klerykalno-ugodowe, a na ich miejsce zaprowadzić nowe, oparte na braterskiej sprawiedliwości. Musimy się wziąć energicznie do walki ze wszystkim, co nam staje na drodze do lepszego jutra, **musimy szerzyć oświatę, pobudzać myśl, instynkt społeczny, rugować zacofanie, ciemnotę, zakładać biblioteki, rozpowszechniać książki i gazety prawdziwie ludowe.** Młodzieży ludowa! Ty nam pomóż, bądź naszą podporą w walce, pracuj usilnie, nie tylko fizycznie, ale i oświatowo. Pamiętajmy, że przyszłość nasza leży w naszych rękach..."

III. W OKRESIE ZAMACHU MAJOWEGO

Ocenę popularności Piłsudskiego wśród działaczy t. zw. demokratycznych partii sejmowych w okresie przed zamachem majowym, przynosi „N. Chłop." w nrze 19 z dnia 25.4. 1926 r.:

...„Wśród nieszczęsnej „demokracji" naszej w „Wyzwoleniu", Stronnictwie Chłopskim, PPS i częściowo „Piaście" — panuje nieopisany chaos, zamęt i dezorientacja... Kłócą się między sobą wzajemnie, zwalają odpowiedzialność, wyszukują różnice programu i taktyki (których nie ma)... Na jednym tylko są zgodni niezdecydowańcy i „demokraci" nasi, oto na punkcie osoby J. Piłsudskiego. Wszyscy się do niego przyznają, wszyscy krzyczą: „On nasz"... **Nie ma wiecu, nie ma zjazdu „Wyzwolenia", Stronnictwa Chłopskiego, P. P. S. a nawet „Piasta", żeby organizatorzy ich nie dawali chłopom jako najważniejsze do uchwalenia rezolucje o hołdzie dla marszałka Piłsudskiego...**

...Chłop niszczeje do reszty z braku ziemi— Piłsudski o tym ani słówka nigdzie nie wspomniał. Chłop ugina się pod ciężarem podatków — Piłsudski milczy. Robotnik mrze z głodu i nie ma pracy — Piłsudski milczy... Obszarnicy i kapitaliści stawiają opór Państwu i nie zapłacili 1300 milionów złotych podatków — Piłsudski milczy... **Na ulicach naszych miast padają coraz częściej trupy wygłodzonych robotników, w więzieniach siedzą po 4 lata bez sądu chłopi i robotnicy, na kresach hula swawola i gwałt, faszyzm i anarchizm coraz śmielej podnoszą głowę — Piłsudski milczy..."**

W międzyczasie rozgrywają się na ulicach Warszawy w dniu 1 maja 1926 r. tragiczne wypadki, które okrywają żałobą i wstydem klasę robotniczą w Polsce. Oto w dniu święta robotniczego prawicowe bojówki PPS przystąpiły do rozpędzenia formującego się na Placu Teatralnym wiecu i pochodu komunistów, a potem przy biernym zachowaniu się policji, sprowokowały bratobójczą walkę, w czasie której 6 robotników zostało zabitych a 27 osób odniosło rany!...

Nadchodzi wreszcie przewrót majowy 1926 roku. Rząd Chjeno-piasta z Witosem na czele upada. Wojciechowski ustępuje. Piłsudski, jako wielka niewiadoma staje u władzy. N P. Ch. ogłasza w dniu 30 maja 1926 roku komunikat, gdzie czytamy m. in.:

...„Po zdobyciu niepodległości R. P. Józef Piłsudski posiadł pełnię władzy. Władzy tej jednak nie użył na przeprowadzenie reform społecznych, tak niezbędnych dla wiejskiego ludu pracującego. Złożył ją bez oporu w ręce chjeno-piastowych wyzyskiwaczy, którzy bez sprzeciwu partii ugodowych doprowadzili kraj, a w szczególności chłopów do ostatecznej nędzy.

...N. P. Ch. twierdziła i twierdzi, że znieść władzę obszarniczo-kapitalistyczną i zaprowadzić nowy porządek społeczny może i powinna jedynie zorganizowana siła robotniczo-chłopska. Pozostaje jednak jeszcze znaczna część chłopów, którzy pokładają nadzieję w Piłsudskim...

15 maja po krwawych walkach J. Piłsudski objął władzę ponownie. Jak przewidywaliśmy, Piłsudski milczy o gwałtownych potrzebach wsi, nie przystępuje do budowy Polski chłopsko-robotniczej... **Kapitalistycznego ustroju w Państwie** Piłsudski zmienić nie chce...' („Niezależny Chłop" nr 19 z 1926 r.).

W dniu 14 lipca 1926 roku N. P. Ch. ogłasza na łamach „N. Chłopa" (nr 34) niezwykle charakterystyczny list otwarty do uchodzących za postępowe Klubów Poselskich „Wyzwolenia" i „Stronnictwa Chłopskiego". Oto treść listu:

...„Szanowni Panowie! Zwracamy się do Was tym razem nie z wezwaniem do wspólnego działania i walki, które tylokrotnie odrzucaliście. Ostatnie głosowanie Wasze za budżetem dla rządu Bartla — Piłsudskiego i za 10 proc. podwyższeniem podatków wskazuje, że już bez obsłonek, jawnie poszliście drogą zdrady interesów mas ludowych. Toteż nie mamy już nadziei z drogi tej Was zawrócić. Ale oto przychodzą sprawy niesłychanej dla ludu wagi, na najbliższych posiedzeniach sejmu ma się rozstrzygnąć walka z reakcją o zmianę Konstytucji. Stanowisko Wasze w tej sprawie nie jest jasne i zdecydowane. Nie głosowaliście razem z nami przeciw odrzuceniu projektu rządowego, który przekreśla resztę praw chłopów i robotników — woleliście głosować razem z „Piastem" i prawicą...

Niejednokrotnie również zdarzało się dotychczas, że przy ważniejszych nawet głosowaniach, Wy — posłowie wyzwoleńcy, nie zjawialiście się w komplecie podczas głosowania na sali czy to przez niedbalstwo, czy przez chęć ukrytej pomocy rządowi. Przez niezjawianie się Waszych i „Stronnictwa Chłopskiego" posłów w Sejmie lub przez usuwanie się do bufetu, nieraz już zdarzyło się, że z braku głosów lewicowych, zwyciężył rząd i prawica.

Obawiając się, że i tym razem niedbale odniesiecie się do swych obowiązków, a co gorzej, że w ukryty sposób zechcecie pomóc rządowi i zrzucić ze siebie odpowiedzialność — **uprzedzamy Was, że przy każdym głosowaniu będziemy pilnie uważali, ilu Was jest, ilu głosuje, którzy z Was są nieobecni i którzy wstrzymują się od głosowania...**

Uprzedzamy, że o tym wszystkim będziemy pisali i mówili ludowi bez ceremonii. A wiecie dobrze, że my, NPCh umiemy dotrzymać zobowiązania wobec ludu...".

Niestety, jak stwierdza poseł NPCh. St. Ballin w „N. Chłopie" nr. 35, z dn. 1.8.1926 r. — „wszyscy posłowie z „Wyzwolenia" i „Stronnictwa Chłopskiego" pokornie głosowali razem z Chjeno-piastem za reakcyjnym pogorszeniem Konstytucji (uchwalenie znanych pełnomocnictw dla rządu).

Tymczasem w Polsce szerzy się terror, a sytuacja ekonomiczna mas proletariatu wiejskiego i miejskiego pogarsza się z dnia na dzień. Na łamach „N. Chłopa" znajdujemy coraz więcej i coraz bardziej rozpaczliwych głosów ze wsi, które choć niestety były tylko głosami wołających na puszczy, już wkrótce sprowadzić miały na sprowokowanych autorów nieszczęścia i prześladowania.

I tak m. in. w nrze 29 „N. Chłopa" z dn. 20.6.1926 r. znajdujemy artykuł pt. „Położenie robotników Zagłębia i Górnego Śląska", gdzie czytamy co następuje:

...„W ubiegłym tygodniu przybyła do Warszawy delegacja bezrobotnych Zagłębia Dąbrowskiego i Górnego Śląska oraz delegaci zatrudnionych częściowo robotników w liczbie 37 delegatów. **Delegaci ci przedstawili rządowi ciężkie położenie robotników w Zagłębiu Dąbrowskim i na Górnym Śląsku, spowodowane niskimi płacami i wzrostem drożyzny, jak również katastrofalne położenie bezrobotnych, których liczba w obu okręgach wynosi około 120 tys., a tylko 70 tys. pobiera skromne zasiłki. Reszta jest zupełnie pozbawiona środków utrzymania. Położenie robotników jest tym rozpaczliwsze, że drożyzna z dnia na dzień gwałtownie rośnie.** Delegacja domaga się zapomóg dla wszystkich bezrobotnych i podniesienia ich w tej wysokości, jak wzrosła drożyzna, wyasygnowanie pieniędzy na roboty publiczne, opieki lekarskiej dla bezrobotnych i ich rodzin"...

Nic też dziwnego, że w tych warunkach w ośrodkach robotniczych coraz częściej przychodzi do strajków i krwawych rozruchów. Tragiczne wypadki mają miejsce w Ostrowcu (6 zabitych, kilkunastu rannych), w Gostyninie (3 zabitych, 7 rannych), w Kaliszu, Włocławku, Inowrocławiu i innych miejscowościach. W związku z tym „N. Chłop" w nrze 32, z dn. 11. 7. 1926 r. słusznie zauważa, że **„od pewnego czasu strzelanie do robotników w miastach stało się wypadkiem prawie co tygodniowym..."**

Wnet też miały się rozpocząć represje na odcinku wiejskim. Teraz zabrały głos władze prokuratorskie i policyjne, centralne i terytorialne. Represje rozpoczynają się formalnie od konfiskat a wreszcie zawieszenia (wrzesień 1926 r.) „N. Chłopa", przekształconego potem na „Lemiesz" i „Niezależnego Oracza".

Równocześnie reżim zbiera bogate żniwo usłużnej pracy zdrajcy i prowokatora, Wojewódzkiego. Ujawnieni na łamach „N. Chłopa" postępowi działacze i pisarze chłopscy wędrują za kraty więzienne, a wieś polska miota się nadal w okowach nędzy i ucisku.

Władysław Błachut

Petr Jilemnicky

K R O N I K A

(Wiatr wraca)

Tłum. V. P.



Petr Jilemnicky

Leżeliśmy w trawie i myśleliśmy o tym, że północ jest już blisko, świerszcze grały nam wprost do ucha, lecz rzecz ciekawa — wcale nie spostrzegaliśmy ich muzyki, ponieważ całą istotą zanurzyliśmy się i zasłuchali we wszystko ogarniającej ciszy, jako że jedynie od niej mogło przyjść to, na co czekaliśmy.

Uświadamiam sobie, że powinniście wziąć mnie w cugle, gdy zbytnio daję porwać się własnym słowom. Co ma wspólnego kronika z gwiazdami? Kto chciałby ją psuć nieprawdopodobnym opowiadaniem o tym, że świerszcze zdecydowały się grać jakiemuś gajowemu wprost do ucha?

Nie będę się więc już upajał własnymi słowami. Opowiem wam poprostu o tym, jak czekaliśmy i jak doczekaliśmy się. Nic wam do tego, jakie uczucie i wzruszenie opanowało nas, gdyśmy usłyszeli w oddali warkot samolotu. Dla was najważniejszym faktem jest chyba to, że samolot naprawdę zaczął się zniżać i krążyć nad nami i że w pewnej chwili coś się zeń wysypało. Nie wiem, czy to się nam tylko wydawało, lecz z początku widzieliśmy jedynie jakieś ciemne punkty, nad którymi po chwili pojawiły się małe białe obłoczki. Zdawało się nam, że w momencie tym cały obraz znieruchomiał. Było to jednak tylko złudzenie. Obłoczki rozrzucone po niebie opadały powoli, kropki zawieszone pod nimi wydłużały się i uzyskały wyraźniejsze kontury. Tak, to byli oni!

Wyskoczyliśmy, aby biec im naprzeciw. W ciemności nocy, przetykanej jedynie światełkami gwiazd, trudno było odgadnąć dzielącą nas odległość, trudno było określić, gdzie spadną.

Rzeczywiście ani jeden nie spadł blisko nas. Widzieliśmy jedynie — i to niewyraźnie — jak zetknęli się z ziemią, widzieliśmy jak jedni leżąc, drudzy znów biegnąc albo klęcząc starali się przyciągnąć do siebie biały więdnący obłoczek, aby móc się od niego uwolnić.

Podczas gdyśmy szli im na przeciw, oni już gromadą posuwali się w naszą stronę. Możecie sobie wyobrazić, jak ich przywitaliśmy. Możecie sobie wyobrazić, jak ich obejmowaliśmy i ściskali sobie wzajemnie dłonie. Wiecie, że twardy ze mnie chłop i że niejeden wiatr mnie osmagał, lecz nie wstydzę się wam przyznać, że miałem łzy w oczach.

W pewnej chwili ten, który na pierwszy rzut oka wydawał się nam przywódcą całego oddziału skoczków spadochronowych, podszedł do mnie, zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów i rzekł:

— Ty... Gondasz!

Nie wierzyłem własnym uszom. Jak to możliwe? Ludzie, których nigdy jak żyję nie wdziałem, ludzie, którzy z ziemi rosyjskiej przylecieli do nas i dopiero przed chwilą zetknęli się z naszą ziemią słowacką, nazywają mnie po imieniu...

Przyszło mi wówczas na myśl zdarzenie sprzed roku, przypomniałem sobie rosyjskich inżynierów i porucznika Pawła, którzy po ukończeniu swoich planów na pewno szczęśliwie powrócili z naszej wioski do kraju. Wrócili z mapami i z listą ludzi, na których można polegać...

Zapewniam was, że dawno już nie czułem takiej radości jak wówczas. Lecz o tym nie piszcie w kronice!

— Kozłow — przedstawił się jeden z partyzantów.

— Kozłow — mówi drugi.

— Kozłow — powtarza trzeci.

Nie wiem dlaczego, ale musiałem się z tego śmiać, podejrzewałem zarazem, że stroją sobie z nas żarty. Tym bardziej, gdy za Kozłowa podał się czwarty i piąty.

Oni też się śmiali a piętnastu pozostałych rechotało chyba dlatego, że tego rodzaju niespodzianka musiała nam — jak sądzę , dobrze wykrzywić gęby. Zapewnili nas jednak całkiem serio, że pięciu Kozłowów to nie żaden kawał, lecz pięciu rodzonych braci, którzy prosili o przydział służbowy do jednego oddziału.

Zwróćcie w swej kronice uwagę na to, że wybrali sobie najbardziej niebezpieczną służbę. Proszę, nie zapomnijcie o tym szczególe i odpowiednio go podkreślcie.

Ulokowaliśmy naszych partyzantów na stokach Vepry, w bunkrze, który już w ubiegłym roku służył ich poprzednikom. Był wprawdzie ciasny dla tylu ludzi, ale było to latem, gdy trawa miękka a noce ciepłe...

I tak wreszcie mieliśmy ich u siebie.

Wkrótce dały się w okolicy słyszeć opowiadania o chłopcach, którzy uciekali z domu i szli do lasu...

— — — — — — —

Pewnej soboty, a było to właśnie w połowie września, gdy ludzie wracali z tygodniowej pracy do domu, przyszedł do mnie stary Chudik i powiedział:

— Jeśli nie wrócę w poniedziałek do pracy, to znaczy, że przyjdę później.

— A to dlaczego?

— Idę do Bystrzycy na zjazd...

W tym momencie przypomniałem sobie wiadomości i ogłoszenia, od których roiło się w gazetkach i — prawdę mówiąc — zacząłem trochę zazdrościć Chudikowi, że będzie naocznym świadkiem wydarzenia o tak wielkim znaczeniu.

Nie wiem, czy pamiętacie jeszcze o tych sprawach, nie wiem. jaki jest wasz do nich stosunek. My wszyscy, którzy od dawna pracowaliśmy w ruchu socjalistycznym, czy to w partii komunistycznej, czy też w socjal - demokratycznej, uświadamialiśmy sobie w owym czasie znaczenie zjednoczenia obu partii, co miało się dokonać 17 września. Robotnicy, chłopi i wszyscy porządni ludzie, którym dopiekła niesprawiedliwość, przemoc i oszustwo, rozpoczęli wówczas walkę z tym społecznym...

Patrzyłem na starego Chudika pełny dobrotliwej zazdrości.

— Jesteście delegatem socjal-demokratów?

Przytaknął. Potem chwilkę pomyślał i rzekł:

— Dawno już zastanawiałem się nad tym... Stary jestem i wiem, jak to na świecie bywało: gdy panowie chcieli się dobrać do naszej skóry, dzielili nas na kilka partii.. Gryźliśmy się z sobą, a oni zdzierali z nas skórę...

— Słusznie — przytaknąłem — Tym razem na próżno będą sobie ostrzyć zęby. A kto idzie z naszych?

— Urban i Lisciak.

Do naszego zakątka wieści przychodziły z wielkim opóźnieniem, rzecz zrozumiała. Zależało to od naszej wąskotorowej kolejki, która, zwłaszcza w tym okresie, wcale nie dbała o rozkład jazdy i kursowała jak jej się żywnie podobało.

Kiedy stary Chudik wrócił, przywiózł mi cały stos starych gazet.

— A jak tam było?

Pytałem, pełen niecierpliwości, która nie została zaspokojona. Chudik machał ręką, jakby chciał wyrazić zbyteczność jakichkolwiek pytań. Powtarzał jedynie:

— Tego się nie da wypowiedzieć słowami... Tego się nie da w ogóle wypowiedzieć... *).

Musiałem zadowolić się nadzieją, ze gazety, w których będzie omawiane to ważne zdarzenie, na pewno wyliczą nam wszystkie szczegóły i opiszą entuzjazm, jakiego świadkami nie bywa się zbyt często; a także Urban i Lisciak — gdy tylko ochłoną i wszystko ustatkuje się im w głowie — będą mogli opowiedzieć o zjeździe więcej niż Chudik chciał.

Żeby tylko ten czas tak szybko nie uciekał! Gdyby go można było zatrzymać choć na chwilę. Jak można czas zatrzymać! Kończył się wrzesień, nadchodził październik, a chmury, które bywają w lecie jak mleczna piana, zupełnie poszarzały. Wiatr już nie wiał ze ściernisk, ludzie je zorali. Skoro tylko deszcz przestawał padać, a wietrzyk owiał stoki, znów śpieszyli na pola i zbierali kartofle. Tak brzydkiej pogody, takiej jesieni dawno już nie mieliśmy.

---

*) Petr Jilemnicky — Kronika (Wiatr wraca) — powieść o partyzantce na Słowaczyźnie, wyd. w 1948 r. w Pradze.

*) W Bystrzycy, która wraz z rozległą okolicą była opanowana przez partyzantów, odbył się zjazd — do połączenia partii jednak nie doszło. (Przyp. tłum.).

Piotr Chmura

„TERRA, NON GUERRA!"

(Ziemia, nie wojna!)



„Jeśli prawdą jest, że macie miliardy, jak ich używacie? Żyjemy w grotach Mergelliny, a nasi mężowie nie pracują już od lat". (Z manifestacji przeciwko planowi Marshalla).

W ostatnich tygodniach USA obiecały rządowi włoskiemu udzielić kredytów na inwestycje rolne w wysokości około 70 miliardów lirów. 43 miliardy lirów mają pozostać w rozporządzeniu rządu. Ponad 13 miliardów przejść ma na inwestycje dla prywatnych właścicieli rolnych. Uchwyconą w tym miejscu nić rozsupłajmy aż do końca. Rząd jest w ręku Chrześcijańsko-Demokratycznej Partii, tej która wyrwała władzę komunistom, jaką posiadali w pierwszym okresie po zakończeniu wojny. Stało się to „przy pomocy" USA. W pierwszym bowiem okresie uchwalono Konstytucję, stanowiącą fundament dla wielkich przemian społecznych. Konstytucja stawiała kategorycznie „reformę rolną". A reforma rolna we Włoszech to **przewrót!** Za panowania Chrześcijańskiej Demokracji Konstytucja zawisła na kołku. O Reformie Rolnej nie ma mowy. Ale pomyślałby ktoś, że kredyty inwestycyjne to — chrześcijańskie wyrównanie dla chłopów? Nic podobnego. 43 miliardy lirów „rządowych" dostanie się na Komitety Ulepszenia produkcji rolnej. A Komitety składają się wyłącznie z ziemian. Statuty Komitetów oparte są jeszcze o prawodawstwo faszystowskie, wykluczają udział robotników rolnych, dzierżawców i drobno-rolnych. W pozycji 13 miliardów lirów, przeznaczonych dla prywatnych właścicieli znajdą się jako petenci również ci sami ziemianie obok drobnorolnych chłopów. Oto ustawienie, które przypomina mata w szachach. Wejrzyjmy w obraz walki klasowej, jaką wyraża owo ustawienie „figur" przez jeszcze większe figury...

Dla czytelnika polskiego zdumiewającym musi się wydać układ stosunków agrarno-społecznych we Włoszech — jeszcze bardziej, niż był u nas — feudalny i jeszcze bardziej kapitalistycznie skomplikowany. **Renta gruntowa**, jako podstawa dochodu, święci tu poprzez kapitalistyczne formy dzierżawy i podnajmu swój triumfalny związek ze średniowieczem.

20 tysięcy rodzin latyfundystów posiada połowę ziemi Włoch — 10 milionów ha. Taki obraz jest nam znany z niedawnej naszej przeszłości. Ale rzecz w tym, że ponad 2/3 ludności **pracującej** na roli znajduje się w bezpośredniej zależności od latyfundystów. 2.300.000 robotników rolnych pracuje na folwarkach. A 3.300.000 rodzin dzierżawi pańską ziemię. Zatem — 5.600.000 rodzin chłopskich nie posiada wcale ziemi. 2.700.000 haruje na własnych gospodarstwach karłowatych, nie wystarczających na utrzymanie rodziny. Oto najogólniejszy obraz chłopstwa włoskiego. Dzierżawiących są dwie kategorie. Jedna na dzierżawach rodowych, z obowiązkiem oddawania 50% zbiorów (dochodów rocznych). Druga na umowach rozwiązywalnych (zmiennych), ponosząca jeszcze większe ciężary wobec właściciela ziemi (70—80% zbiorów). Przy potwornym głodzie ziemi, przy wielkiej armii robotników rolnych, przy półtora miliona bezrobotnych chłopów gra na dzierżawę umowną udaje się latyfundystom. Żądają oni z ha oddania sobie 10 kwintali zboża (100.000 lirów), z tysiąca ha dzierżawnych obszarnik wyciąga rocznie 100 milionów lirów. Dlatego u tysiąca latyfundystów leży odłogiem milion 500.000 ha ziemi. Nie opłaca im się podejmować inwestycyj w ziemię, w podniesienie i rozszerzenie produkcji folwarcznej. Renta gruntowa płacona w formie dzierżawy pokrywa z nadmiarem obszary zdewastowane i zapuszczone, na których dopiero trzeba by budować osiedla, drogi, dopiero inwentaryzować narzędzia produkcji. To chłopi sami w pierwszym okresie po wojnie, dzięki poparciu partii komunistycznej, objęli ziemie nie uprawiane przez latyfundystów, zakładając na nich wsie spółdzielcze. Walka o ziemię dla tych, którzy sami pracują, weszła w etap trudny dla rzesz chłopskich. Po wojnie wydano prawo, wedle którego latyfundysta albo odłogi uprawia, albo, jeśli tego nie czyni, musi oddać w bezpłatną dzierżawę chłopom, zakładającym wsie spółdzielcze. Partia komunistyczna wywalczyła 250.000 ha na nową uprawę. Teraz prawo nie jest wykonywane. Odłogami znów szachują obszarnicy — chłopów, których $^{2}/_{3}$ nie ma ziemi, dla których dzierżawa, ba, najemne roboty rolne są sprawą życia i śmierci. Rachunek jest prosty. Mniejszy obszar folwarków i ziem dzierżawnych wzmaga podaż rąk roboczych i podaż opłat dzierżawnych, które zakuwają chłopów w niewolę średniowieczną. 10—20% zbiorów dla własnej rodziny!

Jednym z największych latyfundystów jest Watykan. Kościół pod własnym imieniem dzierży w swym ręku **pół miliona ha.** Rozporządza nimi według tych samych feudalno-kapitalistycznych zasad. W tych dniach odbyło się w Modenie Zgromadzenie Narodowe Komitetów Ziemi. Chłopi stanęli tam wobec trzech spraw.

1) Żądali w tych nowych, tragicznych warunkach tego, co w kapitalizmie było codziennym przedmiotem walki, Związków Zawodowych od etapu do etapu. Dodatków rodzinnych dla robotników rolnych, zasiłków dla bezrobotnych, nowych płac minimalnych, wypowiadania pracy na 4 co najmniej miesiące, urlopów płatnych, 8-godzinnego dnia pracy. Oto rzucone oskarżenie **chrześcijańskiej** demokracji i latyfundyście-**Kościołowi.**

2) Stanęli wobec „łaskawej pomocy" USA, wobec kredytów inwestycyjnych dla rolnictwa włoskiego. To znaczy, nie dla małorolnych chłopów, nie dla dzierżawiących i nawet nie dla folwarcznych. Plan rozkładu kredytów przewiduje odbiorcę w latyfundystach, a ci zmarnotrawią fundusze w części, w części przeleją na akcje giełdowe i przemysł, opanowywany i kontrolowany przez USA. Wrócą, skąd przyszły, po czasie. W tej chwili mają wzmocnić i rozzuchwalić burżuazję obszarniczą, oszukać chłopstwo włoskie.

3) Dlatego wraca dla chłopów tym natarczywiej sprawa Reformy Rolnej. Żądanie jej róść będzie w masach coraz silniej, coraz wymowniej. Fakt, że $^{2}/_{3}$ chłopów jest bez ziemi (folwarczni i dzierżawiący), że $^{1}/_{3}$ to małorolni — już w latach międzywojennych ustawił wieś do komunizmu i partii komunistycznej przychylnie, mimo że ziemia i uprawa to południe, a przemysł to północ, mimo dławiącego patronatu plebanii, mimo ciemnoty i prymitywizmu. A. Gramisci, twórca partii komunistycznej, już po pierwszej wojnie przełamywał rozdział pomiędzy południem a północą, udowadniał chłopom wspólność interesów z proletariatem. Latyfundyści wykorzystują chłopów, a kapitały, zdobyte pracą ich rąk, lokują w przemyśle na północy, gdzie wyzyskiwani są znowu robotnicy.

W Modenie, w tych dniach chłopi włoscy rzucili na świat, na Kongres Pokoju, wielkie hasło: **Ziemia — nie wojna!**

Oni, wyzuci z ziemi, **pokój budować mogą przez ziemię!** Kto im ziemi wzbrania, kto przy pomocy ziemi frymarczy ich życiem i śmiercią — ten toczy wojnę z człowiekiem!

Ziemia — nie wojna!



Z literatury ludowych Włoch (książki Ruggera Grieca, członka Włoskiej Partii Komunistycznej): „Komuniści i chłopi pracujący"; „Przegnać wielkich właścicieli ziemskich"; „O przyszłość młodzieży wiejskiej".

Kazimierz Piwarski

Naród francuski pragnie pokoju

Rząd „trzeciej siły" znajduje się pod mocnym obstrzałem. Masy ludowe Francji mają już stanowczo dość ustawicznych afer, tolerowania i tuszowania skandali finansowych, karygodnego pobłażania kollaborantom-zdrajcom sprawy narodowej. Wiadomo już, jaki powód tego pobłażania. Kollaborantów ochraniają dzisiaj przed ręką sprawiedliwości potężne koneksje z całym kręgiem interesów owych 200 rodzin wielkokapitalistycznych, które Francję doprowadziły do katastrofy i hańby r. 1940, które stanowiły podporę reżimu Vichy, a teraz panoszą się dalej we Francji — w cieniu imperializmu amerykańskiego. Rozzuchwalona reakcja coraz śmielej podnosi głowę. Koła prawicowe domagają się amnestii dla kollaborantów. Skrajnie reakcyjna PRL (Republikańska Partia Wolności) złożyła w Zgromadzeniu Narodowym wniosek, domagając się zniesienia specjalnego trybunału dla spraw kollaboracji! Pod osłoną kół rządzących Francją dokonuje się jawna mobilizacja wszystkich sił reakcyjnych, dążących do zniweczenia nawet dotychczasowych, skromnych zresztą zdobyczy IV Republiki.

Rząd „trzeciej siły", radykalno-chadecko-blumowski, musi ostatecznie zrzucić maskę rzekomego republikanizmu i demokratyzmu; przypierany coraz silniej do muru będzie musiał obnażyć swe istotne oblicze — służalca reakcji i amerykańskiego imperializmu. Co do tego bowiem nie można już żywić żadnych złudzeń. Minister Marie, który z takim pobłażaniem traktował kollaborantów, stosował równocześnie bezwzględne represje wobec górników francuskich, którzy w obronie swej egzystencji podjęli głośny strajk w jesieni ub. roku. Na aresztowanych górników posypały się kary więzienia i grzywny. Minister Marie wydał okólnik do sądów apelacyjnych, zalecając sędziom zatwierdzanie wszystkich wyroków, wydanych przeciw górnikom, którzy uczestniczyli w strajku. W tych warunkach wszystkie organizacje robotniczych związków zawodowych, nie wyłączając chrześcijańskich i rozłamowców spod znaku „Force Ouvrière", protestują przeciw represjom, solidaryzując się z całością klasy robotniczej. Przewodniczący związku górników francuskich Duguet oświadczył ostatnio: „Polityka rządu kosztuje państwo drożej niż zadośćuczynienie żądaniom górników; rząd jednak mimo to kontynuuje ją, albowiem celem jego jest ostateczne złamanie oporu górników, tej awangardy klasy robotniczej, stojącej na przeszkodzie w polityce antyspołecznej rządu, w jego uległości wobec imperialistów i dążeniu do wojny".

Sprawa jest postawiona jasno. Czy samo odejście pana Marie zmieni zasadniczo sytuację? Należy w to wątpić — dopóki reszta zespołu „trzeciej siły" stoi u steru rządów. Bo przecież osłanianie kollaborantów czy prześladowanie robotników to tylko pewne aspekty ogólnego zagadnienia: zaprzedania się „trzeciej siły" na służbę reakcji amerykańskiej, popierania interesów reakcji rodzimej i obcej. Rzecz prosta, iż na zewnątrz stara się rząd francuski zachować pozory polityki „obiektywnej" czy „neutralnej". Nikogo to jednak nie wprowadzi w błąd. Wiadomo, że rząd „trzeciej siły" utrzymuje się we Francji jedynie dzięki mniej lub więcej jawnym kontaktom z gaullistami, dzięki temu, że jest jeszcze potrzebny — do czasu! — jako czynnik ułatwiający de Gauelle'owi realizację jego snów o dyktaturze. Podobnie i w sytuacji zagranicznej: wiadomo, że rząd „trzeciej siły" spełnia tylko rolę, wyznaczoną w planach imperialistów amerykańskich. Kiedy Queuille czy Schuman lansują pomysły tzw. „trzeciej siły międzynarodowej" (ewentualnie przy współpracy Francji z W. Brytanią), mającej rzekomo odegrać rolę pośredniczącą między Stalinem a Trumanem, to w istocie chodzi im tylko o zamaskowanie istotnej zależności od Waszyngtonu. Dowodem tego odmowne stanowisko rządu Queuille'a wobec propozycji pokojowych J. Stalina.

Polityka zagraniczna Francji poddana została druzgocącej krytyce w ostatniej deklaracji Ministerstwa Spraw Zagranicznych ZSRR z 29.1 br. Stwierdzono w niej m. in., że „rządy W. Brytanii, Francji i innych krajów uczestniczących w tym sojuszu (Unii Zachodniej), zdecydowanie zerwały z tą polityką, którą prowadziły państwa demokratyczne, wchodzące w skład antyhitlerowskiej koalicji w okresie drugiej wojny światowej, z polityką, zmierzającą do skupienia sił wszystkich miłujących pokój państw, rozbicia agresji hitlerowskiej i faszyzmu oraz do stworzenia warunków, które by uniemożliwiły odrodzenie sił agresywnych po wojnie". Albowiem „rządy W. Brytanii i Francji wraz z rządem USA w istocie pragną w chwili obecnej wciągnąć i wyzyskać do swoich celów Niemcy Zachodnie, w których, przy współudziale przede wszystkim anglo-amerykańskich sił okupacyjnych, coraz mocniej się usadawiają we wszystkich ogniwach kierownictwa stare prohitlerowskie i militarystyczne elementy reakcji niemieckiej. Fakt, iż zwrot ten w polityce państw zachodnio-europejskich znalazł poparcie i pochwałę ze strony kół kierowniczych USA, jeszcze bardziej zwiększa niebezpieczeństwo, wynikające z przemian politycznych, jakie zaszły we wspomnianych wyżej krajach europejskich, które zerwały z polityką pokojową i wkroczyły na drogę przygotowań do nowej agresji w Europie".

A jednak rząd Queuille'a nie daje jeszcze za wygraną: sądzi widocznie, że maskowaniem swej istotnej roli, gierkami balansowania czy lawirowania, potrafi jeszcze złudzić część społeczeństwa francuskiego. Staje się to jednak coraz trudniejsze, wobec ofensywy pokoju, jaką podjęły siły postępowe Francji, starając się w pełni uświadomić własne społeczeństwo. Postępowa opinia Francji domaga się jasnego opowiedzenia się po stronie obozu pokoju, przeciwko podżegaczom wojennym. Takie stanowisko zajęli m. in. intelektualiści francuscy w swych wypowiedziach na forum obrad „Międzynarodowego Biura Łączności dla Obrony Pokoju" w Paryżu (zainicjowanego przez Kongres Intelektualistów we Wrocławiu). Postępowy ksiądz Boulier oświadczył m. in.: „Podżegaczy wojennych trzeba przyprzeć do muru i zmusić ich do rozmów. Francuzi nie będą uczestniczyli w zbrodniczych planach, skierowanych przeciwko ZSRR. Nie wystarczy myśleć o pokoju, należy o pokój walczyć. Walka ta zakończy się zwycięstwem". A L. Aragon wzywał do zorganizowania nowego ruchu oporu przeciw podżegaczom wojennym, kończąc swe przemówienie tymi słowy: „Połączymy się wszyscy z olbrzymią masą ludową, która nie chce wojny i będziemy do niej przemawiać językiem Romain-Rollanda, językiem pokoju".

Głosy intelektualistów wyznaczają wyraźnie rolę narodu francuskiego w dzisiejszej sytuacji światowej: winien on stanąć niezłomnie po stronie obozu pokoju. Nie wątpimy, że takie właśnie stanowisko odpowiada pragnieniom większości narodu. Zapewne znajdzie to swój wyraz już w mających się odbyć niebawem wyborach kantonalnych: jak wiadomo, ostatnie uzupełniające wyboru do rad miejskich wykazały znaczny wzrost wpływów partii komunistycznej. Jej hasłem jest obecnie utworzenie rządu jedności demokratycznej, który prowadziłby politykę pokoju i niepodległości narodowej. Hasło to odpowiada w zupełności prawdziwym interesom narodu francuskiego, w szczególności jego klas pracujących. Linia podziału we Francji jest coraz wyraźniejsza: po jednej stronie „stronnictwo amerykańskie", czyli te wszystkie ugrupowania, które jawnie lub skrycie służą interesom reakcji i imperialistów — po drugiej wielomilionowe rzesze Francuzów, zgrupowane w Partii Komunistycznej i związkach zawodowych, które, opowiadając się zdecydowanie za pokojem i przeciwstawiając się wplątaniu Francji w sieci awanturniczej polityki wojennej imperialistów amerykańskich, służą najlepiej sprawie swej ojczyzny.

W I E R S Z E

Jerzy Waleńczyk

WĘDKARZ

Na końcu haczyka słowa
Pluszcze myśl głębinowa

Język przenikliwy jak szkło
Język przenikliwy jak ocean

haczyk brodzi po dnie
ostatni zgrzyt haczyka
a wędkarz fajką pyka

Głębinowa myśl się wymyka
połknęła z haczykiem słowa

Pod język jak szkło
Pod język jak ocean
można podłożyć świat
który uspakaja oczy
i taki który uspakaja wyobraźnię
i taki któremu ufają kształty
i taki któremu ufają nazwy
gdzie dwie myśli są wyłupione
przez wronę zakryte niebo
południe wydzwaniane kopytem
cwałującego żuka
gdzie dzięcioł jest Zeusem
z dzioba wytrząsa pioruny
a poezja ma struny
ze strużek deszczu na szybie
weź szybę jak cytrę
i uderz w te struny
oto jej głos

Na końcu haczyka słowa
Pluszcze myśl głębinowa

Wycofują się ryby w głębinę
może dzisiaj haczyk ominą
może jutro haczyk ominą
może zawsze haczyk ominą

P O E T A

Na początku i na końcu mądrości
jest
fermentuje coraz to nowymi kształtami
zagaduje gałąź o krew ziemi
usta o uśmiech
ogień o płomień
stoi na beczce nie mając skały
na beczce która pije krążek nieba
i której krawędzie są krawędziami
horyzontu

Tam gdzie sięgają szlaki
nie znające procesów oka
duma spojrzeniami których starczy
dla wszystkich
ciszę skrapla w znak zapytania
i dla błądzących ma tylko dwa zdania
patrzcie dwoma oczyma
i nie dzielcie historii
na czas kiedy
ludzie łapali zwierzęta
i czas kiedy
ludzie łapali ludzi
Byłby kondorem
urodził się indykiem
i potrząsa pytaniami
pytania dzwonią jak kamienie
i kiedy spadają na dno umysłu
zapominają że są kamieniami
i mają lot i dotyk liścia

Ciszę uwiesza u czoła znaku zapytania
i zwija go
zwija
w okrzyk Archimedesa
albo w zdziwione rozwarcie ust Sokratesa

Nieraz wychodzi tańczyć
na nogach których nie dojrzałbyś
są tylko ślady na piasku
o utraconej pamięci
szepcące mądrości zaklęcia
ślady szczudeł
nie są same
obok inne wyrastają
w osłów karawanę
wędrującą pod przewodnikiem błędnych
przywidzeń
za każdą fata — morganą
wraca do siebie
bo żadna nie dała mu tego
co widział w oczach dziecka i człowieka
z tłumu

Krople odrywa z fontanny
i opija całym słońcem
inne które są codzienną mową
mają orbitę
wytacza z niej jedną kroplę
kroplę wykruszoną z fontanny
pióro pociera o papier
wykrzesza iskrę
iskra która zostanie tylko iskrą
musi zniknąć
nie ma gdzie iść
ale zamknięta w kształcie wiersza
wędruje od ściany do ściany
w dół
w górę
echo wiersza
echo w pustym pokoju wywiezionych
echo które nigdy nie zapyta o głos

PRZEMIANY

Wszystko co płatki śniegu wiedziały
o życiu
to był ich lot
myślały że dach gałąź ziemia
to koniec
Dlatego i śmiesznie i nagle
przed nimi podskakują

Cieniują pnie milczącym ruchem
i uchem jednym małym
głosów żadnych nie złowią
z tamtej strony pnia
i mówią
poza naszym białym cieniem
nic nie ma

Może dlatego że jest zima
serce przypomniało sobie że jest gorące
i że może się na coś przydać
choć jest jedno
a tysiące jest waszych
i że jest bratem Twoim Przechodniu
który niesiesz własny Cień
Już jest jedna godzina po dniu
już do mieszkań rozjaśnionych zagląda
na podłodze bawi się dziecko

Z garnka wykipiał na blachę dzień
i zasyczał
Dziecko wsiada do pociągu z pudełek
Ręce których matka nie widzi
bilet do kraju mu podają
gdzie się wędruje chwilę
kiedy matka dogląda garnka
a gdy się odwraca
już nas nie poznaje

Jan Zygmunt Jakubowski

NOWA HISTORIA LITERATURY

I

Wokół programów — pisał Mieczysław Jastrun w roku 1947 („Kuźnica" nr 25) — panuje cisza. A przecież program nauczania literatury w szkołach powinien interesować nie tylko pedagogów, lecz również pisarzy. Od tego, **jak i na czym** będzie kształcona młodzież, **zależy przyszłość kultury i literatury w Polsce"**.

Istotnie, pora przerwać to milczenie: część nowego programu historii literatury jest już w bieżącym roku realizowana w klasie IX jednolitej szkoły, dobiegają końca prace nad ustaleniem sformułowań programu dla klas X i XI. Sprawa dojrzała, aby uczynić ją przedmiotem rozważań nie tylko w kręgu specjalistów. Nie chodzi bowiem w nowych koncepcjach programowych jedynie o drobne zmiany w jakości i ilości wiedzy literackiej, które dostrzega tylko najbardziej zainteresowany: nauczyciel - polonista. Nowy program podjął rzecz zasadniczą: interpretację historii literatury zgodnie zarówno z doświadczeniami historycznymi naszych czasów jak i postulatami metodologicznymi współczesnej nauki o literaturze. Tak pojęty program nauczania literatury jest niewątpliwie **cząstką dzieła wielkiej reformy kulturalnej**, jaką przeprowadza Polska w nowej sytuacji historycznej. W istocie chodzi tu bowiem o problem, który pasjonuje wszystkich — o **wybór dziedzictwa kulturalno-literackiego.** Sprawa ta była u nas po wojnie niejednokrotnie dyskutowana (wystarczy przypomnieć wypowiedzi Sokorskiego, artykuły Chałasińskiego, czy Żółkiewskiego, Kotta, Ważyka, P. Hertza i in.). Program traktuje sprawę dziedzictwa kulturalnego w konkretnym, praktycznym zastosowaniu. Dlatego wezwanie do pożytecznej dyskusji nie jest retorycznym gestem. Zmobilizowanie uwagi i czujności wielu jest tu po prostu potrzebą społeczną. Praca nad nowym programem w okresie rewolucyjnych przeobrażeń w życiu narodu nie jest łatwa. Programy i szkoły nie dotrzymują kroku zasadniczym przemianom społeczno-gospodarczym. Zmniejszyć do minimum ten tradycyjny przedział między życiem a szkołą — oto wielka i piękna ambicja nowego programu nauczania literatury.

Korzystam z zaproszenia, aby właśnie na łamach „Wsi" przedstawić zasadnicze koncepcje programu. „Wieś" bowiem drukowała wiele wypowiedzi nauczycieli, działaczy społecznych i młodzieży, atakując praktykę nauczania literatury w szkole. Upraszczały one może trudną problematykę. Ale tkwiła w nich zarazem zrozumiała i słuszna tendencja świeżego spojrzenia na dorobek literacki przeszłości i do takiego nauczania literatury, aby było ono rzeczywistą pomocą dla młodych w zdobywaniu rzetelnej wiedzy o człowieku i życiu. Cytowane fragmenty z wypracowań maturalnych (w artykule J. A. Króla „Koniec z takim uczeniem", „Wieś" nr 1—2 br.) świadczą rzeczywiście o bezsensownej i chaotycznej interpretacji literatury w szkole. Istotnie pora, aby nowy program pośpieszył na pomoc.

II

W rozważaniach niniejszych nie omawiam całości programu języka polskiego w najstarszych trzech klasach jednolitej szkoły. Pragnę jedynie (pomijając drobniejsze sprawy metodyczne) odpowiedzieć na zasadnicze pytanie: jak nowy program ujmuje historię literatury?

W dyskusjach polonistycznych tradycyjnie zwężano problematykę nauczania literatury do kwestii raczej dydaktycznych, do techniki pedagogicznej. Mniej natomiast wnikano w społeczny i filozoficzny sens koncepcji programowych. Tymczasem sprawy programu nie można odrywać od rzeczywistych procesów ideologicznych epoki. I na obecny program nie wystarczy patrzeć jedynie z tego punktu widzenia, że zmienia on dobór lektury, że wymaga innej postawy dydaktycznej polonisty itp. W istocie wyrasta on z odmiennej niż w minionym dwudziestoleciu **koncepcji kultury, z odmiennego pojmowania przedmiotu i zadań nauk humanistycznych, z innej koncepcji człowieka.** Dlatego trzeba tu nieco historii, aby zarysować właściwe perspektywy dla nowego pojmowania nauczania literatury w szkole.

*

W roku 1920 ukazał się podręcznik dla nauczycieli pt. „Rozbiór literacki w szkole". Autorem jego był najwybitniejszy dydaktyk-polonista w międzywojennym dwudziestoleciu, Kazimierz Wóycicki. Pisał on na wstępie wspomnianej książki: „Dyskusja nad zagadnieniem, czy nauka literatury w klasach wyższych szkoły średniej ma polegać na kursie ciągłym historii literatury czy też na analizie dzieł literackich, dobiegła, zdaje się końca. Znakomita większość wybitniejszych jej uczestników zarówno u nas, jak gdzie indziej, we Francji, Szwajcarii, Niemczech, wypowiedziała się przeciw wykładowi historii literatury, za główne, a często jedyne zadanie szkoły uważając czytanie autorów..."

W roku 1924 na Zjeździe Polonistów autor najpopularniejszego podręcznika historii literatury, Ignacy Chrzanowski, bronił jeszcze praw historii literatury w szkole. (Wiemy, że utrzymała ona swoje stanowisko w programie ośmioletniej szkoły średniej).

W roku 1935 na Zjeździe Polonistów inny znany dydaktyk międzywojennego okresu, Władysław Szyszkowski, tak rekapitulował dyskusję: „...spór, jaki się wówczas (1924 r.) toczył między prof. I. Chrzanowskim, a p. Wóycickim, z których jeden stał na stanowisku, że młodzież musi wiedzieć, że w Polsce byli tacy ludzie, jak Długosz, Modrzewski, Niemcewicz, choćby się nawet żadnego wyjątku z dzieł ich nie czytało, drugi zaś godził się z faktem, iż „wolno uczniowi nie wiedzieć, że mieliśmy Zimorowiczów, Petrycych, Bohomolców, jeśli tylko obcował w głębi duszy ze szlachetnym słowem Kochanowskiego, jeśli nosił w zanadrzu swego serca wyniosłe myśli i uczucia twórcy Dziadów, jeżeli zapalał wyobraźnię widzeniami Słowackiego, jeżeli zadumał się zadumą Asnyka, wsłuchał w głos i pieśń Konopnickiej, Kasprowicza" — dziś spór taki chociażby nawet powstał, spotkałby się, jak sądzę, ze zdecydowanym frontem polonistów-nauczycieli..."

Pomińmy patetyczną stylizację niektórych cytowanych wypowiedzi (poloniści mówią dziś na ogół prościej!). Chodzi tu o ich merytoryczny sens. Spór na temat „historii literatury czy literaturę" był w praktyce szkolnej odzwierciedleniem walki między pozytywistyczną syntezą literatury a tendencjami antypozytywistycznymi („naukami o duchu", Geisteswissenschaften).

Chrzanowski bronił zasadniczo pozytywistycznego pojmowania badań literackich, z ich dążeniem do szukania wzorów metodologicznych w metodach nauk przyrodniczych, z ich przerostem elementów biograficznych, z ich ambicjami interpretacji przeżyć twórcy i czytelnika. Wiemy, że w praktyce szkolnej prowadziło to do nauczania młodzieży długiego szeregu nazwisk, tytułów, szczegółów biograficznych, do błądzenia po osobistych przeżyciach twórcy, do psychologizowania. Przeciwnicy tej metody wysuwali hasło autonomii badań humanistycznych, domagali się interpretacji dzieła literackiego ze względu na jego walory artystyczne i — w praktyce szkolnej — bronili słusznej zasady poglądowości, lektury arcydzieł, a nie tylko informacji o nich. Tak, ale programy oparte na syntezie pozytywistycznej dawały jednak wiedzę historyczno-literacką, choćby **częściowo** włączoną w nurt historii społeczeństw. Zwycięstwo antypozytywistycznych tendencji w badaniach literacko-naukowych przyniosło słuszną i płodną tezę, że nie można sprowadzać pojęć nauk humanistycznych do pojęć nauk przyrodniczych. Praktyka badawcza dała wiele cennych osiągnięć w dziedzinie oświetlenia wartości artystycznych dzieła literackiego, ale w dalszym rozwoju prowadziła do przerostów formalizmu, do stanowiska ahistorycznego. W szkole wystąpiły szczególnie jaskrawo konsekwencje grzechu pierworodnego syntezy antypozytywistycznej — uznanie prymatu poznania intuicyjnego. W praktyce nauczania języka polskiego widoczne to było w tendencjach antyracjonalistycznych i antyhistorycznych, w głoszonej zasadzie, że utwór literacki należy **przeżywać** a **nie poznawać.** Wydaje się, że tu jesteśmy u źródła tych nieporadnych sformułowań w wypracowaniach maturalnych, które wywołały słuszną krytykę na łamach „Wsi". Ostatecznie trzeba bowiem sięgnąć w poszukiwaniu sprawcy do **programu,** ostatniego programu licealnego przed wojną, który w przeważającej mierze kształtuje i dziś jeszcze poglądy nauczyciela i ucznia.

Był to program opierający nauczanie literatury na zasadzie następstwa chronologicznego. Ale ten historyzm był bardzo podejrzanego gatunku. Nie szukano podłoża „prądów duchowych" w konkretnych, społeczno-gospodarczych procesach historii, ale tłumaczono je po prostu, jako coś oczywistego. Historię literatury (jak całej kultury) wyznaczały nieokreślone bliżej prawa ducha, świat wartości idealnych. Kiedy jeden z maturzystów pisze, że „każdy kierunek umysłowy musi się przeżyć... tak stało się z romantyzmem, stracił siłę, urok i świeżość i przestał działać na dusze. Ludzie mieli dość fantazji i uczuciowości, a przy tym łaknęli czegoś nowego" — jest to ostatecznie jedynie uczniowskie sformułowanie tezy o „odwiecznej walce" rozumu i uczucia w historii, tezy głoszonej zupełnie poważnie przez niektórych badaczy. Kiedy maturzysta oświadcza, że „dziś hasła pozytywizmu zostały całkowicie zastosowane do życia", kiedy ideologię mieszczaństwa uznaje bezkrytycznie za ideologię rewolucyjnego proletariatu — to znów trzeba szukać winowajcy: program licealny mówił o „pozytywistycznym poglądzie na świat", o „związku z myślą filozoficzną Zachodu", ale nie troszczył się zupełnie o to, aby chociaż zwrócić uwagę na podłoże tych ideologii w rzeczywistych procesach dziejowych. Ostatni program przedwojenny, pozornie historyczny, nie uczył młodzieży historycznego myślenia.

*

Ewolucja programów nauczania literatury — to interesujące odzwierciedlenie dziejów myśli mieszczańskiej w ostatnich kilkudziesięciu latach. Charakterystyczne jest tu przede wszystkim wycofanie się z pozycji pozytywistycznego, racjonalistycznego optymizmu, kult intuicji, koncepcja życia sprowadzająca prawdę o człowieku do wiedzy o jego świecie wewnętrznym, zawisłym od tajemniczych, irracjonalnych czynników. (Jastrun słusznie zauważył w cytowanym już artykule: „Antyracjonalistyczne, biologiczne, witalistyczne nurty w literaturze dwudziestolecia znajdowały w szkole swoje przedłużenie").

W nowej sytuacji historycznej Polski, w okresie budowania nowego ustroju społecznego i zwycięstwa klasy robotniczej, niesposób było, oczywista, wracać do koncepcji programowych dominujących w minionym dwudziestoleciu. Antyhistorycyzm w nauczaniu literatury nie mógł być bliski naszej epoce, podobnie jak i antyracjonalistyczna teza, że wartość istotną posiada poznanie intuicyjne. Niesposób było również poznanie intuicyjne tradycję analizy formalistycznej. Oderwanie od historii oświetlanie wartości artystycznych okazało się jednostronne z punktu widzenia poznawczego, niewystarczające ze względów społeczno-wychowawczych.

Ale, rzecz prosta niemożliwy był i powrót do teorii pozytywistycznych, do naturalistycznej koncepcji człowieka i kultury, do pozostawania w kręgu problemów biografii i psychologii, bo to zniekształcało historyczne myślenie młodzieży, omijało prawdę, że działalność artystyczna człowieka jest funkcją życia społecznego.

Zanim jednak powstała obecna koncepcja programowa, próbowano przystosować program dawnego liceum do potrzeb nowej szko-

Józefa Witowska

W KSIĘŻYM DOMU

(Z pamiętnika dziewczyny)

Na prośbę biskupa przyjęła pani Zielińska na mieszkanie ks. prefekta Rożkowskiego, bo podobno najdalej miał chodzić do gimnazjum.

Po paru dniach przyszedł ks. Rożkowski — czarny, wysoki, w okularach z nieodstępną fajeczką, a z nim jakaś pani czarna, gruba, podobna do Żydówki. Obejrzeli mieszkanie, a szczególnie ta pani interesowała się każdą drobnostką. Gdy przechodziła przez sypialnię po ks. Kamińskim powiedziała:—Wie ksiądz, to by była sypialka w sam raz dla księdza. Stało tam łóżko pokryte białą kapą, obok mała biblioteczka, szafa, piękny z dużym krzyżem klęcznik i bardzo ładna umywalka, którą ks. Kamiński dostał na imieniny w jakiejś parafii, biurka i trzy krzesła.

Więc ks. Rożkowski kupuje sypialkę, z tym wszystkim, co w niej jest. Jakoś się zgodzimy na raty. Potem pokój stołowy, też cały. Gdy weszli do salonu, również chcieliby mieć cały dla siebie. Kupili salon. Później kuchnia ze wszystkimi urządzeniami, a nawet ze służącą, której pani Zielińska za nic by nie puściła. Ja także nie chciałabym zostać u obcych.



Przyprowadził się ks. prefekt. Jakaś tam babusia przyniosła parę gratków, które były niczym w porównaniu z tym, co kupili. Babcia ta przychodziła u nich sprzątać. Najważniejsze było to, że kuchnia była wspólna. Pani Zielińskiej nie podobała się od razu ta rodzina. Pani Piórkowska — gospodyni prefekta, „ciocia" była babą niemiłą, niechlujną, łaziła jak paw nadęta, wiecznie w halce, z tyłu z rozporem rozwartym. Było często widać kwiatki purpurowe. Bluzkę nosiła często bez rękawów, z wielkim dekoltem, jak się nachyliła było widać jej ogromne piersi, głowę często owijała chustką: — O, jak mnie dziś głowa boli — mówiła. Ale ta głowa to ją wtedy tylko bolała, kiedy chciała od księdza coś wydobyć. Kiedy księdzu podała obiad, zawsze naprzeciw niego stanęła, podparła się i dopiero pokazała mu całe piersi. Pani Zielińska nie mogła tego znieść. Mówiła do mnie: — O, jaka ona bezwstydna, przy mężczyźnie tak stoi i chodzi, w tej halce brudnej. Czy by to mój brat na to pozwolił? — tu spojrzała w niebo. — O, słodkie serce Jezusa, jakieś Ty cierpliwe!

Do „cioci" się zjeżdżała na wakacje cała rodzina i to nieraz po 6 osób. Prefekt miał pensję za małą, więc trzymał czterech chłopców na stancji.

W letnie wieczory wychodził ksiądz z „ciocią" na spacer do parku czy gdzie indziej i znowu się to pani Zielińskiej nie podobało i mówiła do mnie: — Wiesz Marysiu, może to nie ksiądz, może to jaki przebrany szmukler? Całe wieczory ich nie ma w domu. To jest zagadka, z kim my mieszkamy.

Mimo wszystko przemieszkaliśmy razem lato. Zbliżała się jesień. Pani Zielińska szykowała się do Częstochowy do brata, który miał po nią przyjechać. Księdzu Rożkowskiemu dosyć się podobałam, a może go też „ciocia" namawiała? Kiedyś mnie zagadnął: — Czy by Marianna nie została u mnie, jak Pani Zielińska wyjedzie? A ja mu odpowiedziałam: — Marianną nie jestem i z panią Zielińską wyjeżdżam. Bardzo mnie ta „Marianna" rozśmieszyła. To ci mnie ładnie nazwał! Przecież jeszcze nie jestem starą panną. Pani Zielińska powiedziała „cioci", że się bardzo obraziłam za tę Mariannę, toteż ksiądz kiedyś mi powiedział rano: O, Mania, dzień dobry.

Pani Zielińska nie radziła mi zostać u nich. — Dziecko kochane, szkoda cię tutaj dla nich, ten ksiądz też taki niejasny, wieczorem kręci się w bieliźnie po wodę do kuchni, oboje mi się nie podobają — mawiała. Pakowałyśmy już bieliznę na przeprowadzkę, a w ładne słoneczne dni szłyśmy swoim zwyczajem do parku, czasem na pogrzeb biedaka, ale „ciotce" nasze wycieczki się nie podobały. Kiedyś mi powiedziała: — Wiesz ty, Maniu, ty nie pasujesz z tą starą babą i z tym półgłówkiem Antosiem, ty przecież jesteś młodą panienką, tobie potrzeba innego towarzystwa. A ja się roześmiałam i mówię: — Czuję się bardzo dobrze w ich towarzystwie. Pani widzi, razem sprzątamy, jemy, spacerujemy, kto chce może do mnie przyjść, należę do różnych stowarzyszeń, chodzę na zebrania, wycieczki, co drugi dzień idę na lekcję śpiewu, któż by mi tak pozwolił na wszystko? — No tak, ale ci płaci tylko 15 zł. miesięcznie, gdybyś była u nas płaciłabym ci 35 i jeszcze byś coś dostała. Jak się ta stara wyprowadzi, to weźmiemy więcej uczniów i będziesz mieć u nas dobrze. Kupisz sobie coś, przecież jesteś młoda i musisz ładnie wyglądać. Kupię ci od czasu do czasu jakiś prezent. I tak pomału zaczęła mnie do siebie zachęcać, a nie pozwoliła mi nic mówić o tym pani Zielińskiej. Ksiądz prefekt zaczął mile na mnie względać i oczami mrugać. — Nosił okulary, nerwowo zawsze mrugał oczyma i miał przysłowie mówić „Panie tego". — Więc, Maniu, zostajesz u nas, — będę ci płacił 35 zł., a pani jest dobra, niczego ci żałować nie będzie, dostaniesz od niej niejedno — mówił ksiądz.

Ksiądz przy nas mówił jej: „ciotka", a jak nie było nikogo, tośmy słyszeli jako wołał: Stacha, chodźno.

Gdy się położył do łóżka, a kładł się wcześnie, to „ciotka" poszła i godzinami siedziała na łóżku przy nim. Myśmy się z panią Zielińską śmiały, że ciocia nie na próżno chodzi zawsze taka rozchełstana, bo tak go wabi do siebie. — O, serce Jezusa i to się nazywa księży dom? — Nie, coraz więcej mi się oboje nie podobają. Obie strony czuły do siebie coraz większą niechęć, rozmawiały tylko przy gotowaniu w kuchni z „ciotką", a z księdzem to tylko „dzieńdobry". Nie podobało się „ciotce", że przychodzą do nas dziewczynki na obiady: — Lepiej by sama zjadła, ugotować mniej a lepsze. Wielkiej łaski Panu Bogu nie zrobi, że da dzieciom obiady.

Nadszedł upragniony wrzesień i w końcu św. Michał. Brat pani Zielińskiej przyjechał zabrać paczki, tak że pani Zielińska została tylko z małą walizeczką. Mnie nie chciała zostawić w żaden sposób, chciała żeby z nią razem jechać do Częstochowy. Lecz ja połakomiłam się na większą pensję i na te prezenty, które mi oboje obiecali. A jeszcze było mi żal wyjeżdżać, bo miałam dużo dzieci małych, które do mnie przychodziły i to przeważnie były sierotki. Urządzałam z nimi różne zabawy, śpiewy, postarałam się u księdza Blizińskiego o przyjęcie trzech do sierocińca w Liskowie, więc sobie pomyślałam, że zostanę w tym samym domu, na miejscu. Tylko ocyganiłam panią Zielińską, że pójdę spać do domu, a rano o 4 przyjdę na dworzec — Pani Zielińska poszła z Antosiem spać do przytułku, a rano miałyśmy się spotkać.

Wstydziłam się powiedzieć pani Zielińskiej, że zostaję. Zostałam więc w księżym domu.

* * *



Pokój pani Zielińskiej był oddany dla uczniów. Zaraz pierwszego października przybyło 2 nowych, to razem było 6, i siostrzeniec „ciotki" Wojtek, zwany Wojtas. Był to uczeń 5-tej gimnazjalnej, ale podług sprawiedliwości to pierwszej marnej. Był to łobuziak, złodziej, ordynus i cygan. Ksiądz sobie aż ręce łamał i krzyczał nieraz: — Wojtas, jak ty mnie kompromitujesz! Znowu dwója. Bo rzeczywiście miał same dwójki. Kiedy indziej znowu:—Wojtas, profesor poczuł wódkę od ciebie, paliłeś w ustępie. Wojtas, profesor cię pytał, a ty sobie rysowałeś zamiast odpowiadać. Bój się Boga, co z ciebie będzie? Skoro Wojtas był łobuzem w gimnazjum, to cóż powiedzieć w domu? Kradł nawet mięso z garnka lub patelni. Umówił się z kolegą, tamten okradł rodziców i uciekli obydwaj do Poznania. Przyszli rodzice z płaczem do księdza, a byli to bogaci kupcy. Po chłopcach ślad zaginął, nie pomogły gazety ani meldunki w policji, uciekinierów nie ujęto. Na próżno „ciotka" głowę owija i płacze. Ale łobuzów jakoś diabli nie wzięli: po miesiącu wrócili pieszo z Poznania, w podartych butach, wygłodzeni, zziębnięci. Ale „ciotka" z radością Wojtasa powitała i rano poszedł do gimnazjum jakby nigdy nic. Skoro się zbliżały wakacje, a co rok było tak samo, ciotka ręce załamywała: — Ady niech się ksiądz stara, by Wojtas zdał, bo sobie życie odbiorę. Ady niech ksiądz co chce robi, byle by Wojtas przeszedł. Ksiądz powoli, bo był zawsze powolny: — Bez żadnych tragedii, po cichu, niech ciotka tylko pomyśli, kiedy by zrobić przyjęcie, ze dwa obiady, kolacje. A ciotka słynęła z dobrych obiadów. Więc któregoś dnia ksiądz poprosił wszystkie profesorki, profesorów z panem dyrektorem na czele. Pociągali, popijali w saloniku, no i cud. — Wojtas przechodził, stopnie poprawione.

* * *

Uczniowie mieli raj na stancji, że nie daj Boże. Przede wszystkim mieli mało jeść. Wieczorami ksiądz z „ciotką" wychodzili na spacer, czy do kogoś znajomego. Wracali późno. Wszystko było zamknięte. Chłopcy głodni i ja głodna. Chodziłam po sąsiadach pożyczyć parę kartofli, które po ugotowaniu w łupinach jedliśmy z solą i kładliśmy się spać. Oni, gdy wrócili, czasem jedli, a czasem nie. Rodzice chłopców wstydzili się upominać, przecież to ksiądz. Chłopcy byli ze wsi, a do prefekta jeden przez drugiego ojcowie synów pchali. Gdy się zdarzyło, że któryś miał lichsze stopnie, ojciec, lub matka przynieśli gęś, kurę, jaj i całowali księdza po rękach, by coś dopomógł. A ksiądz wtedy: — To nygus, nie dba o naukę, jego najlepiej oddać do rzemiosła. No zobaczę, może co zrobię. Toteż rodzice go za to obłapiali za nogi. Po ich odejściu ksiądz mówił do „ciotki" w mojej obecności: — Głupie chłopy, każdy by chciał mieć syna panem, a nagnać do roboty, „panie tego", nygusów! Ja mam pamiętać o wszystkich i uczyć?

Chłopcy w czasie świąt będąc w domu umówili się z rodzicami, żeby u mnie zostawiali trochę żywności. Tak też niektórzy robili, ale nie wszyscy. Był jeden gospodarz spod Chocza, co u mnie zostawiał pieniądze, aby co potrzeba synowi kupić do jedzenia! Nie wszyscy chłopcy byli na księżym życiu. Było 2 co tylko mieszkali. Rano dostali wodę, na południe wodę i na wieczór wodę, którą sobie sparzali chleb i jedli czasem okraszony, czasem z solą.

I ja nie miałam, jak mi obiecali. Roboty było dużo a jeść mało. Nawet mydło musiałam kupować za swoje pieniądze. Jak nie schowałam swojego mydła, to mi „ciotka" zabrała obiecując, że mi odkupi.

* * *

Ksiądz prefekt jesienią i zimą siedział ustawicznie w kuchni. Ba, żeby w kuchni, ale na kuchni. Pod nogi postawił krzesło i grzał sobie „sempiternę". Zapalił fajkę z długim półmetrowym cybuchem, oparł o kolana, oczami mrugał i tak mógł przesiedzieć 3 — 4 godziny. Ja byłam skrępowana, ani się umyć, ani ubrać. Przyszły do mnie koleżanki, idziemy na lekcje, migamy na tę faję, że nie wychodzi. Wołają mnie, żeby się szykować, bo będzie późno. Nareszcie ja proszę: — Ksiądz będzie łaskaw wyjść na chwilę, póki się nie umyję. — Ha, ha, ona myśli, że ja nie znam takich ślepaków, jak ona ma. Dziewczęta się zarumieniły. Rada nierada wycieram się trochę ręcznikiem i dziemy, a „ciotka", to naczynie duchowne, jak ja ją nazwałam siedzi na tym samym krześle co ksiądz ma nogi, głowę oparła o jego łono. Nie krępowali się nawet tych obcych dziewcząt, co do mnie przychodziły.

Po przyjeździe uczniów, jeden, najstarszy z nich, który miał zdawać maturę w tym roku pyta mnie, czy był Jędrek. — Tak, czy go znasz? — Czy go znam? Kolega z jednej wsi i z jednej klasy. Dopiero mi Heniek Wieczorkiewicz opowiedział prawdę nieprawdopodobną. Otóż ten Jędrek był bardzo biedny, ojca nie pamiętał, matka mieszkała na komornym, chłopak pasał gęsi a później krowy u proboszcza, ale był dobry i zdolny, więc proboszcz go przysposobił do trzeciej klasy, a że znał naszego prefekta, z nim się jakoś poinformował, żeby wziął Jędrka na stancję. Prefekt przyjął go bez życia, za darmo, matka mu przynosiła na plecach chleb, masło, ser. Ale chłopak się dobrze uczył, nasz proboszcz go zachęcał do kapłaństwa. Może by i był, gdyby nie ta stara Lena. Ani to uczciwie pisać, ani czytać nie umiało, przychodziła często do nas by się uczyć. Prefekt kiedyś nas pyta: — Chłopcy, który na ochotnika uczyłby trochę pannę Lenę? Myśmy się wymówili, że nie mamy czasu, prefekt spojrzał w stronę Jędrka. Te, Jędrek, darmo mieszkasz, poucz trochę pannę Lenę. I Jędrek co dzień poduczał. Zostawali sami wieczorami, sami po południu. Kto kogo uczył, nie wiadomo, czy on ją czy ona jego, dość, że Lena poczęła się poprawiać. Co to było za piekło! Ksiądz aż zsiniał. Potem wszystko ucichło. Ksiądz pozałatwiał wszystkie formalności i pewnego popołudnia pojechali gdzieś na wieś i tam im ksiądz dał ślub. Jak to? pytam — bez zapowiedzi? Nie wiem, jak Boga kocham. Nic nie wiemy, co się zrobiło, dość, że ksiądz się wystarał o posadę gdzieś za Warszawą i oboje ich wyekspediował. Matka przyniosła Jędrkowi tobół, a tu jej ksiądz a później ciotka zaczęli opowiadać: Łajdak, zbałamucił dziewczynę, obraza Boża, musiał ją przecież zaślubić. A stara Szyszkowa na kolana: — Adyć Chryste Panie, adyć jo myślała, że on bydzie księdzem, że mi osłodzi moje stare lata. Chryste Panie, zabierz mnie sierotę, już straciłam cię Jędrku, Jędrku, tak zasmuciłeś mnie sierotę, adyć jo cie oddała do księdza w opiekę, ady mnie nawet i księdza wstyd za niego. Jak ja spojrzę naszemu proboszczowi w oczy? Miłosierdzia, Jezusiczku Drogi. A nasz prefekt na to: — Nic nie pomoże płakanie, idźcie, idźcie, chłopak jest urzędnikiem w Warszawie, źleście go chowali, gdyby był lepiej chowany, byłby inny, nic już nie pomoże. — Matka poszła, ale potem mało wychodziła, rozchorowała się i umarła.



* * *

U księdza pieniędzy zawsze brakowało, bo wciąż był ktoś z rodziny, wydatki były duże. Ksiądz mawiał: — Ciotka, oszczędniej, przecież ja mam pensję kawalerską, a tu taka rodzina duża. Wtedy były historie niemożliwe. Ciotka pakuje się i już wyjeżdża, wpada do kuchni podobna do wariatki, łapie brudne gałgany i paczka gotowa. Odprowadź mnie, jadę do Łodzi, co tu w takim dziadowskim domu być? — krzyczy na mnie. Ciągnęła mnie za sobą na ulicę, a później wołała o klucz do pustego pokoju, w którym organista miał lekcje śpiewu, a klucz był u nas. Tam poszła i czekała dopóki ksiądz nie pójdzie do szkoły. Powtarzało się to bardzo często. Po wyjściu księdza przyszła do domu, a jak ksiądz w przerwie przychodził, to wchodziła do szafy i tam siedziała dopóki nie wyszedł, a ksiądz prefekt w czasie jej nieobecności chodził jak struty, blady.—Kiedy to pani mówiła, że przyjedzie? — pytał się. — Trzeba by po nią pójść na stację. — Nic mi nie mówiła, tylko niech mi ksiądz powie, co mam gotować na obiad, bo nic nie ma. Musi mi ksiądz dać co pieniędzy, to pójdę kupić kawałek mięsa. Wiedziałam, że on pieniędzy przy sobie nie ma. Mówiłam tak umyślnie. — Ugotuj żurku z kartoflami, bo nie mam klucza od szufladki z pieniędzmi. — Ale nie mam kartofli, bo są w piwnicy. —To sobie pożycz od kościelnego, pani przyjedzie, to odda. — A ile razy miałam nieprzyjemność, bo zjadła chleb, a ksiądz na drugi dzień nie chciał mi dać pieniędzy, ponieważ myślał, że ja tyle zjadłam. Albo udawanie chorej. Tak umiała sprytnie udać chorobę, że ksiądz sprowadzał doktora. Naturalnie ona doktora nie chciała. Ile razy się z nim pogniewała, tyle razy leżała po parę dni chora, aż dostała to, co chciała. Jednego razu chciała nowe palto krótkie. Rzeczywiście trudno było kupić, więc zrobiła się chora śmiertelnie. Zawołała mnie do siebie do łóżka: — Ja jestem zdrowa, ale widzisz chłopa trzeba zawsze utruć, wtedy będzie trochę lepszy. Idź mi dziecko do żydowskiej rzeźni i przynieś szklankę krwi z gęsi czy kaczki. Poszłam, przyniosłam, zapłaciłam parę groszy i nie wiedziałam, do czego to będzie potrzebne. Myślałam, że na czerninkę. Tymczasem „ciotka" kazała mi przynieść miskę, postawić przy łóżku,



polała tą krwią siebie, pościel, trochę poplamiła brodę, resztę wylała na miskę i na podłogę koło miski. Wyglądała rzeczywiście niepodobnie do człowieka z głową owiązaną czerwoną chustką i tak czekała przyjścia swego „prefekcia", a wiedziała dobrze, że w każdą przerwę przychodzi. Gdy wszedł do pokoju i zobaczył ją, narobił takiego krzyku, wpadł do kuchni z rękami do góry podniesionymi, myślałam, że mnie będzie bić: — Ty sobie w najlepsze siedzisz w kuchni a nie widzisz, co się dzieje w pokoju! Leć mi natychmiast, po doktora, wszystko zostawiaj. A ciotka z pokoju słabym głosem woła: — Już mi lepiej, szkoda pieniędzy na doktora. Ale ksiądz się uparł. Wyszukał parę złotych. Zostawił mi w kuchni i powiedział: — Ja już muszę iść, a ty się ubieraj i biegiem po doktora. Po odejściu księdza „ciotka" wstała, przyszła do kuchni, obmyła się, posprzątała po sobie, śmiała się, że tak wyglądała nieładnie, i posłała mnie do apteki, żeby kupić mieszaniny: kropli waleriana, goździkowych, miętowych, żołądkowych, gdy to przyniosłam zmieszała z wódką i zrobiła pełną butelkę, którą wstawiła w kwartę wody, postawiła koło siebie na oknie i poszła do łóżka. Czekała teraz przyjścia swego „prefekcia". Na obiad wszyscy wrócili, prefekt się pyta, czy był doktór i czy jest lekarstwo. Odpowiadam, że doktór był i lekarstwo jest. Gdzie to lekarstwo, zobaczę jakie. — U pani w pokoju. Poszedł do pokoju, szuka lekarstwa a „ciotka" słabiutkim głosem się odzywa: Ady tam stoi na oknie, bo doktór kazał żeby było w zimnej wodzie i w zimnym miejscu. — On bierze butelkę, chce zobaczyć receptę i leci z tą butelką prosto do mnie do kuchni: — Czy ty masz zdrowy umysł? Kto to słyszał stawiać butelkę z receptą do wody? Nic nie mogę przeczytać, zalało się wszystko. Wtedy ja się śmiałam na cały głos, a za mną wszyscy uczniowie w kuchni. Śmialiśmy się z jego wściekłości i ryku. Kiedyś znowuż „ciotka" żąda pieniędzy. Nie mam, będą w niedzielę. W niedzielę każdy uczeń musiał dać na tackę przynajmniej 10 groszy. W jedną niedzielę brał prefekt te pieniądze, a w drugą dawano na kościół. Gdy przypadała kolejka prefekta, to taką torbę przyniósł pieniędzy, a w poniedziałek rano zaraz wysyłałam pieniądze jej matce. Po każdej pensji posyłałam pieniądze dla matki, a ile paczek! Pisałam jej nawet listy, bo się tłumaczyła, że bez okularów nie może pisać. Gdyśmy zabili świnię, co się często zdarzało, to ledwie ją się oczyściło, „ciotka" zaraz ucięła kawał brzucha i jeszcze takie ciepłe wysyłałam jej matce alba jej krewnym.

Pewnego razu przyszedł jakiś wiejski chłop z kijem. Pyta się o księdza. Puściłam go, bo byłam pewna, że to ojciec jakiegoś chłopca. Widzę, że długo nie wychodzi, a było to już pod wieczór. Poszłam do pokoju, siedzą sobie z księdzem przy stole i słyszę jak księdzu mówi „ty" i będzie tu nocować. Nie mogłam się domyśleć, kto to jest. Zjedli bardzo skromną kolację, tylko chleb z masłem i herbatę. Rano poszedł sobie do kościoła i nie wracał prędko. Nim wrócił, prefekt poszedł już do szkoły. „Ciotka" z gościem niechętnie rozmawiała. Dostał w kuchni tylko na śniadanie suche bułki i kawę. Prosił, żeby mu pożyczyli pieniędzy na drogę, bo przyszedł pieszo aż spod Krakowa. Pieniędzy żadnych nie mamy, najwyżej mogę pożyczyć — i posłała mnie do kościelnego pożyczyć, ale wyszła za mną, żebym nigdzie nie pożyczała i powiedziała, że kościelnego nie ma, w domu A on też już nie czekał, tylko zabrał się i poszedł. Po jego odejściu pytam się, kto to był? — Ach, to taki wariat, ma coś w głowie pomieszane. Widzisz, jak on jest ubrany, ustawicznie by tylko wołał pieniędzy. Poszła do pokoju i więcej na ten temat nie rozmawiałyśmy. Po paru dniach przyszedł list. Kazała mi czytać jak zwykle i wtedy się dowiedziałam, kto to był ten „wariat". Przyszedł pieszo spod Krakowa, bo jego żona a siostra prefekta jest chora i są małe dzieci. Pisał tak: — Tyś mój wychowanek, ostatnie grosze łożyłem, byś był człowiekiem, ale teraz twoja siotra leży chora i to beznadziejnie. Do tej pory od ciebie nic nie żądałem, ale wejdź w nasze położenie — idzie zima, dzieci bez bucików chodzą. Twoja gospodyni mnie się czym prędzej pozbyła. Jak przyszedłem, tak poszedłem, nie chciałem już twojej łaski. Toś ty jest sługa Boży? Oddałeś mi za wychowanie? Niech ci Bóg za to wszystko zapłaci. — Po przeczytaniu list spaliła, prefektowi nie oddała. Zresztą prefekt sam w lichej, podartej sukni chodził, którą mu wciąż łatała, ale za to dla jej bratanków, siostrzenic wszystko było.

Józefa Witowska

Maria Szwengrub

PSYCHOLOGIA DZIECKA WIEJSKIEGO*)



Na wycieczce Fot. A. Minorski

Zdziwiłam się, kiedy w przedmowie do drugiego wydania książki dr Tadeusza Klimowicza przeczytałam:

„Nie ulega bowiem najmniejsze wątpliwości, że najdonioślejszym zjawiskiem socjalno-politycznym w ogólnej sytuacji powojennej Państwa Polskiego **jest zdecydowane wysuwanie się na plan pierwszy w życiu państwowym warstwy chłopskiej** (podkreślenia T. K.), co odpowiada nie tylko jej liczebnej przewadze w narodzie i sile biologicznej, lecz i **pierwszorzędnym wartościom duchowym, mogącym stanowić niewzruszoną podstawę odrodzenia narodu i jego ewolucyjnego pochodu ku wielkości i potędze"**. Walka z ludomaństwem wydawała mi się już zakończona. Widocznie tak jednak nie jest. Dla pewnych naukowców „zdrowy rdzeń duchowy", podział na ludzi lepszych i gorszych jest w ostatniej instancji zależny nie od społecznych konkretnych warunków życiowych, a takich wrodzonych dyspozycji psychicznych, które nas utrzymują „w stanie podziwu i zachwytu dla wieczystej twórczości przyrody" (str. 11).

Toteż, gdy autor dochodzi do zarysu psychologii dziecka wiejskiego, nie bardzo może sobie poradzić z klasyfikacją jego rozwoju: wzywa na pomoc psychologię różniczkową, systemy psychologiczne i struktury psychiczne—różnych niemieckich i angielskich szkół, by wreszcie godzić się z typologią Sprangera i określić chłopa jako „ekonomiczny typ człowieka". A więc, u chłopa występuje przede wszystkim „nastawienie na pożytek i realistyczna praktyczność", dalej (wg Fuchsa) „pewna duma z siły i wolności", bo „utylitaryzm, znamionujący chłopa jest konsekwencją jego dążności do utrzymania i zwiększenia poczucia niezależności, samodzielności" (str. 48).

„Zasadnicze cechy osobowości chłopa, odróżniające ją od struktury psychicznej osobowości innych warstw społecznych, są funkcją setki lat trwającej pracy na roli" (str 48). Jakież są te cechy?

Chłop posiada „prawość", „szczerość" i „prostotę życia", ku którym zwracają się oczy współczesnej tragicznej ludzkości, tęskniącej do spokoju, pogody i czystości życia".

Widać zatem, jak na dłoni, że kilkanaście klasyfikacji (angielsko - niemieckich) szkół psychologii, jakie autor powciągał do swoich rozważań, służy tylko jako dekoracja nauki.

Spod tej naukowej rzekomo sztukaterii wychylają się natarczywie **przeświadczenia autora**, natury praktycznej, polityczno- kulturalnej. A więc:

Po 1) Pożytek, realistyczna praktyczność, utylitaryzm, duma z siły i wolności — to, za pozwoleniem, „psychologia" osobowości społecznej, a nie „wieczystej twórczości przyrody". Formułowano kiedyś te przykazania postulatywnie. Wchodziły w skład podręcznej biblii kapitalizmu. Miała ona wskazywać jak dojść od petit-bourgeois do grand—bourgeois.

Po 2) Te cechy a obok nich (i tym razem górujące) „prawość", „szczerość", „prostota życia", jako „funkcja setek lat trwającej pracy na roli" — to znowuż ściszony odwrót od historii na rzecz mitu o jednolitości społecznej i jednorodności „charakterów" ludności wiejskiej, jaka rzekomo trwa przez wieki. **Pracą na roli** próbuje autor zasugerować odwieczną „szlachetność" ludu wiejskiego. Wyższy gatunek pracy! Szlachta miała większe obszary, pewnie jeszcze większą pracę na roli. Kułacy większą od biedoty. Szukajmy szlachetności na roli i w zawieszonym w próżni pojęciu pracy. Oto propozycja autora. Tyle mówią mu **wieki.**

Po 3) Na wszystkie te zmagazynowane imaginacyjnie cechy chce autor zwrócić „oczy ludzkości", ponieważ znajduje się w sytuacji „tragicznej". Zdaniem jego „tęskni ona do spokoju, pogody i czystości życia". Tęskni zatem do sielanki, jaką autor wymalował jej w obrazie stuleci wsi. Bo... pierwszy lepszy już podręcznik ekonomii (kapitalistycznej!) uczy, że praca industrialna jest wyższa, bardziej skomplikowana i trudniejsza (wyższy system techniki produkcji) od rolniczej z pługiem. Od cięższej zatem pracy do lżejszej. Zaiste, wygląda to na wybawienie ludzkości. W tym radosnym odkryciu zapomniał autor nawet doliczyć pracę, która bądź co bądź będzie ludzkość oczekiwać na roli. A może i nie zapomniał o tyle, że o niej pojęcia nie ma jako o procesie historycznym. Eliminuje ją z rachunku, prąc do roli, do ziemi, do „wieczystej twórczości przyrody", która daje w zetknięciu ukojenie i szlachetność.

Te trzy wyliczone punkty wskazują na galimatias dydaktyczno-polityczny autora. Wyciąga szufladę i z okresu dorobku elity chłopskiej na kapitalizmie i z okresu zwątpień inteligencji w cywilizację (hm, kapitalistyczną). Ostatecznie ze względu na minione **dobre** dzieje wsi i prapiastowskość, i dumę drobnego kapitalisty wiejskiego (różne okresy do kupy) zaprasza ludzkość na tę wyspę Cerery.

W tym, w czym jest ona poza wsią, jest „tragiczna". Ryczałtem!

Ale „tragiczna ludzkość" nie w haśle powrotu do natury, a w walce z nią i opanowaniu jej szuka ratunku. Osobowość chłopa w pokoleniu każdym powstawała nie „z głębokiego zżycia się z rytmem zjawisk przyrodniczych", a z ciemnoty i zacofania, z funkcji, którą pełnił w społeczeństwie feudalnym i kapitalistycznym, z jego postawy religijno-magicznej wobec zjawisk przyrodniczych, a nie ich znajomości.

I dlatego zawracaniem głowy, a nie postulatem „wieczyście etycznym" — jest żądanie autora „nastawienia socjalno-etycznego, przenikniętego głęboką religijnością" nauczyciela do wychowanka, jak i tylko „umiłowanie (przez nauczyciela) — wzniosłej i pełnej niewysłowionego czaru pracy kształtowania młodzieży jako spadkobierczyni osiągniętych już wartości i dóbr kulturalnych oraz kontynuatorki wieczystego pędu wzwyż" (str 30). To nie tylko personalizm. To samo mówił pan, ksiądz, kapitalista, mieszczański reformator.

Ponieważ T. Klimowicz stanowisko to przyjmuje, dużo trudności w wyjaśnieniu sprawia mu fakt, że przy badaniach testowych dzieci wiejskie wykazują wiele niższą inteligencję jak miejskie. Widzi, że jest tu coś nie w porządku — ale co, tego nie wyjaśni.

I tak, z jednej strony mamy warstwę chłopską, jako „niewzruszoną podstawę odrodzenia narodu i jego ewolucyjnego pochodu ku wielkości i potędze" (str. 7) — z drugiej dziecko wiejskie, mniej inteligentne od dziecka miejskiego.

Autor wprawdzie we wstępie wspomina, że dotychczasowe badania nad rozwojem struktury psychicznej dzieci i młodzieży dotyczyły głównie badań nad dziećmi z rodzin burżuazyjnych i inteligenckich, tym niemniej „przykłada" dziecko wiejskie do modelu tamtych dzieci. I sugeruje: zawróćmy do „wieczystej twórczości przyrody".

Ale my żyjemy w historii i chcemy, konkretnych wyjaśnień — dla budowy państwa socjalistycznego. Tego niestety w książeczce dr T. Klimowicza nie ma, mimo pewnych pozorów — bo „państwowotwórczych" cytatów praca zawiera sporo, ale chyba tylko po to, by maskowały jej prawdziwy rodowód...

*) Dr T. Klimowicz „Psychologia dziecka wiejskiego na tle ogólnej psychologii rozwoju dzieci i młodzieży"; Spółdz. Wyd. „Chłopski Świat", W-wa 1948; str. 105.

Emma Altberg

Muzyka nie dla wszystkich*)

„O muzyce lubimy mówić w słowach górnolotnych. Gniewamy się, że nie ma ona żadnego podkładu literackiego, podejrzewamy, że muzycy ukrywają przed nami jakieś nieznane bliżej znaczenie dźwięków. Tymczasem muzyka — to zorganizowany świat dźwięków, ożywiony rytmem: znaczy tylko tyle, ile się jej słyszy, ile nasza wyobraźnia muzyczna potrafi jej wchłonąć i przyswoić sobie. Zbliżenie się do muzyki powinno polegać nie na uczeniu się barwnych powiastek, o utworach i kompozytorach, lecz na zdobywaniu metody panowania nad dźwiękami, zauważania i koordynowania ich w całości. Obcowanie z muzyką — pomijając wszelkie uczuciowe dodatki — to praca inteligencji, twórcza i radosna".

Już ta cytata ze wstępu do książki, któremu przewodzi motto: „nic o muzyce bez muzyki" — objaśni czytelnika, o co chodzi Rudzińskiemu w „Muzyce dla wszystkich".

Więc przede wszystkim — o podejście do muzyki od strony zjawiska muzycznego, bez bałamucenia się literackiego, malarskiego czy jakiego bądź innego. Praca Rudzińskiego pomyślana jest jako próba wtajemniczenia w „sekrety" muzyki tych wszystkich, którzy w niej widzą otchłanie i głębie, nie podejrzewając... ziem uprawnych, kto — uwiedziony magią dźwięków — nie domyśla się ich sprawnie działającej organizacji i wewnętrznego ładu, w każdej epoce uwarunkowanego dziesiątkami nakazów i zakazów; kto nie przypuszcza nawet, że ten fantastyczny świat, działający na słuchacza przede wszystkim emocjonalnie, rządzi się srogimi prawami i wymaga nie tylko od swoich adeptów, ale i od swoich odbiorców — dyscypliny i wysiłku umysłowego.

Wkraczamy na mozolną drogę inicjacji muzycznej, drogę, która prowadzi od prostych i niemal dziecinnych ćwiczeń, poprzez szeregi przykładów i analogij zaczerpniętych z rzadką pomysłowością z najrozmaitszych dziedzin wiedzy i życia — w sam gąszcz „puszczy muzycznej", w mateczniki problemów, w labirynty teoretycznych rozważań. I nasuwa się uwaga: czy jest to istotnie książka dla wszystkich?

Rudziński zamyślił swoją książkę jako dzieło popularyzatorskie, a napisał, świetną zresztą, encyklopedię muzyczną, którą można i należy polecić gorąco nauczycielstwu muzycznemu, studentom szkół muzycznych, wreszcie amatorom posiadającym już pewne przygotowanie muzyczne, a przynajmniej znajomość fortepianu czy organów, która pozwala na wygranie skomplikowanych nieraz przykładów nutowych.

Bo książka Rudzińskiego nie jest łatwa. Nie tylko dlatego, że unika tego co Rosjanie tak świetnie nazwali „pustosłowiem" — ale że autor nie oszczędził czytelnikowi ani jednego niemal z podstawowych zagadnień muzycznych, że w niewielkiej stosunkowo książce chciał zmieścić całokształt wiedzy o muzyce, zakładając u czytelnika odpowiednią zaprawę umysłową i chłonność.

„Muzyka dla wszystkich" dzieli się na 3 działy, w których autor przedstawia kolejno materiał muzyczny (tworzywo), mechanizm kompozycji (dzieło) i aparat wykonawczy.

Dział I (Dźwięk) obejmuje tzw. w szkołach zasady muzyki, tj. podstawowe wiadomości z akustyki muzycznej, oraz obszerny wykład o rytmice, metrum, takcie, skalach i tonacjach, odległościach, stroju muzycznym etc. Dział II (Utwór) traktuje o dziele muzycznym, jego budowie i fakturze (harmonia, kontrapunkt, formy, zagadnienie treści w muzyce etc.). Dział III (Szata dźwiękowa utworu) — zawiera wiadomości o instrumentach, poczynając od naturalnego, jakim jest głos ludzki, kończąc na orkiestrze. Końcowe rozdziały książki omawiają problemy słuchania muzyki i organizacji życia muzycznego. Świetnie pomyślane, nadzwyczaj przejrzyste tablice i wykresy ułatwiają czytelnikowi orientację, liczne przykłady ilustrują tekst w sposób przekonywający, indeks, w który książka jest zaopatrzona (może nieco za skąpy), zastępuje słownik muzyczny.

Nie wątpię, że „Muzyka dla wszystkich" znajdzie czytelników wśród muzykalnej inteligencji, która uczęszcza na koncerty i w poszukiwaniu właściwego podejścia do muzyki interesuje się nowym przedmiotem — lekcjami słuchania muzyki. Że trafi do młodzieży szkolnej, która studiując poszczególne dyscypliny muzyczne, w książce Rudzińskiego znajdzie próbę syntezy; że dla praktyków muzycznych, którzy daleko już odbiegli od ławy szkolnej, nowoczesne ujęcie zagadnień muzycznych przez awangardowego muzyka, jakim jest Rudziński, będzie ciekawą i pouczającą lekturą; że przyda się wielce pedagogom, którzy chętnie i z pożytkiem skonfrontują swoje wiadomości z dzisiejszym stanem wiedzy muzycznej. Że wiele z niej skorzysta muzyk-popularyzator i wykładowca przedmiotu — słuchania muzyki — i organista na prowincji, i samouk, i kierownik chóru czy zespołów amatorskich, słowem zarówno praktyk jak i amator.

*) Witold Rudziński, „Muzyka dla wszystkich". Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Kraków, 1948.

ły. „Instrukcja w sprawie nauczania języka polskiego w liceum w roku szkolnym 1945/46" głosiła następujące wytyczne „przystosowania programu dawnego liceum do zmienionych warunków Polski współczesnej":

1. Uwzględnić w naszej literaturze nie tylko jak dawniej element szlachecki, ale również „mieszczański, chłopski, robotniczy".

2. Wysunąć w naświetleniu pozycji Polski w Europie „lekceważony dotychczas związek ze Słowiańszczyzną". Instrukcja podkreśla szczególnie związki z Rosją, Ukrainą i Czechami, a następnie ze Słowiańszczyzną południową.

3. Podkreślić w rozważaniach naszego stosunku do Zachodu „filiacje literackie wiążące nas z Anglią i Francją oraz uwzględnić słabą zależność literacką od Niemiec".

4. Uświadomić młodzieży „nie tylko cośmy od Europy wzięli, ale także cośmy jej dali" (Modrzewski. Sarbiewski. arianie polscy, Mickiewicz, Lelewel).

5. Uwzględnić „szczególnie silnie zagadnienie pracy jako czynnika kształcącego przede wszystkim pełnowartościowego obywatela, jak niemniej twórczą rolę warstw pracujących w kształtowaniu współczesnej kultury".

Instrukcja nie stawiała jednak jasno sprawy **metody ujmowania zjawisk literackich w szkole.** Dawała ona polecenie: „w celu umożliwienia młodzieży właściwego zrozumienia tych dzieł i prądów należy przy charakterystyce danego okresu rozwoju kulturalnego uwzględnić jego podłoże gospodarczo-społeczne i polityczne".

Jak wyglądała w praktyce realizacja tego zalecenia? Polonista mówił na lekcjach o stosunkach gospodarczo-społecznych, następnie rozważał zjawiska literackie nie ukazując właściwego powiązania procesów społecznych z ideologią i jej wyrazem artystycznym. W rzeczywistości instrukcja nie przeciwstawiała się skutecznie idealistycznemu traktowaniu podłoża gospodarczo-społecznego, nie odcinała się od popularnych twierdzeń Taine'a.

Praktyka ukazała niewystarczalność instrukcji w nowej szkole. Bo też nie o to jedynie chodzi, by mówić nieco więcej i cieplej o pisarzach postępowych, lecz by ukazać rzeczywisty, klasowy sens zjawisk literackich.

*

Nowy program historii literatury w przeciwieństwie do wspomnianej instrukcji zrywa z mechanicznym socjologizmem, uczy wiązać twórcę i dzieło nie z jakimś bezkierunkowo pojętym podłożem społeczno-gospodarczym, lecz z dziejami klas społecznych, z konkretnymi problemami walk klasowych. Nie chodzi tu o mechaniczne odbicie w literaturze podłoża gospodarczego, lecz o dialektyczne powiązanie stosunków społecznych i ideologii społecznych ze sztuką. Dlatego w sformułowaniach wstępnych wysuwają się na czoło następujące zdania:

„Tak pojęta historia literatury umieszcza dzieło sztuki w konkretnej rzeczywistości dziejowej, widząc w nim wyraz ideologii i doświadczenia społecznego walczących klas społecznych. Podkreślając znaczenie stosunków społeczno-politycznych dla kształtowania się prądów artystycznych i umysłowych, uwypukla i uczy rozumieć znaczenie i rolę literatury jako oręża ideologicznego w walce społecznej. Interpretacja utworu literackiego powinna podkreślać jego rolę poznawczą i wychowawczą".

Socjologiczno-marksistowska interpretacja literatury odgranicza się wyraźnie od koncepcji pozytywistycznych, od taine'izmu, silnie podkreśla klasowy sens zjawisk literackich. W pierwszch próbach interpretacji nowego programu („Polonistyka" nr 4) czytamy:

„Ze sformułowań programu wynika, że rzeczą bardzo istotną, decydującą o odpowiedniej interpretacji zjawisk literackich, jest odsłonięcie w każdej epoce zasadniczego konfliktu społecznego, dynamizującego ówczesne życie. To będzie krok pierwszy i to musi uczynić nauczyciel zarówno drogą wykładu jak i (co wydaje się bardziej kształcące i interesujące) drogą przedyskutowania utworów, które wyraźnie obnażają znamienne konflikty klasowe epoki. Program ukazuje w najogólniejszym sformułowaniu zasadniczą sytuację społeczną różnych epok i to powinno być punktem wyjścia do dalszej pracy w szkole. W epoce Odrodzenia jest np. mowa o „utrwaleniu społecznej i gospodarczej przewagi klasy szlachecko-ziemiańskiej"; w czasach baroku — o „przegranej absolutyzmu oświeconego, wzroście bezprawia szlacheckiego i oligarchii możnowładztwa", w okresie oświecenia — o słabości polskiego mieszczaństwa, o postępowych elementach możnowładztwa, które w sojuszu z bogatym mieszczaństwem podejmuję walkę z żywiołami konserwatywno-sarmackimi o unowocześnienie państwa (nie rezygnując ze swej przewagi jako klasy rządzącej). To są bardzo istotne, jakby kluczowe sformułowania. Prawdziwie określona sytuacja społeczna — to podstawa do trafnego zrozumienia genezy ideologii różnych epok i sensu społecznego, uznanych czy odrzucanych tradycji kulturalnych i literackich i w dalszej konsekwencji — wyrazu artystycznego. (Zgodnie z intencją programu trzeba tu uwzględnić i dialektyczne oddziaływanie twórczości artystycznej na życie społeczne)".

Nowy program przeciwstawia się zarówno formalizmowi (badania formy artystycznej utworu w oderwaniu od wartości ideowych) jak wulgarnemu socjologizmowi (traktowania wartości ideowych w oderwaniu od formy artystycznej). Program nie chce bowiem rezygnować z wartości emocjonalnych, jakimi darzy nas obcowanie z literaturą.

Historia literatury interpretowana w szkole zgodnie z postulatami metody socjologiczno-marksistowskiej odkrywa nowe, szerokie horyzonty poznawcze i wychowawcze. Program ujmuje je przede wszystkim w dwóch punktach:

1. Pojęcie literatury jako artystycznej formy poznawania i opanowywania świata uczy myśleć historycznie, zjawiskom literackim nadaje po prostu życiowo społeczny sens, ułatwia rozumieć je w związku z innymi dziedzinami kultury. Tak pojęte nauczanie literatury staje się podstawą do budowania rzeczywistej wiedzy o świecie.

2. Nowe ujęcie historii literatury ma wartość wychowawczą. Uczyć myśleć historycznie, to znaczy uczyć i wychowywać w duchu rozumienia postępu, rozumienia konieczności tych zmian społeczno-politycznych, jakie zaszły w Polsce i w świecie, jakie będą odbywać się w przebudowie socjalistycznej świata. Wartość wychowawcza nowego programu — to również wydobycie zapomnianych, częstokroć świadomie dotychczas pomijanych tradycji literatury postępowej. Program przedwojenny wymieniał np. wśród pisarzy - publicystów Ludwika Popławskiego i Artura Górskiego, a pomijał (co tu wiele mówić — na pewno czynił to zupełnie celowo) odważną publicystykę tego samego okresu. Wacława Nałkowskiego i Ludwika Krzywickiego.

Program upomina się o zmianę hierarchii wartości literackich, zniekształconych przez krytykę tradycjonalistyczną. Wartość wychowawcza nowego programu — to również pogłębiony stosunek do tradycji kulturalnych, wydobycie z przeszłości tego, co było zapładniające, żywe, twórcze. Zgodnie z prawdą dialektyki historycznej nie pomija program zjawisk wstecznych, ale uczy szanować i kochać to, co w przeszłości literackiej było czynnikiem postępu W związku z tym występuje wyrabianie pozytywnego stosunku do epok, które w dziejach kultury europejskiej utrwalały tradycje postępowe. Jest to niewątpliwie słuszne ustalenie odpowiednich proporcji, jeśli w literaturze dawnej Polski na plan pierwszy program wysuwa epoki Odrodzenia i Oświecenia, jeśli podkreśla np. wartości pozytywne Odrodzenia: krytycyzm, walkę z autorytetami średniowiecza, zeświecczenie kultury, pochwałę radości życia.

*

Bardzo istotną troską nowego programu jest dążenie do wiązania młodzieży ze współczesnością. Stąd obok systematycznego kursu historii literatury znajdujemy w programie każdej klasy dział pt. „Współczesne życie literackie" z następującymi punktami:

1. **„Lektura współczesnych czasopism społeczno-literackich.** W związku z tym: odczytywanie i omawianie w klasie utworów poetyckich, krótszych fragmentów beletrystycznych, **artykułów publicystycznych** i przykładów prozy krytycznej.

2. Zainteresowanie młodzieży życiem współczesnej literatury przez informowanie o aktualnych zdarzeniach literackich, jak nagrody literackie, rocznice itp. Omawianie stosunku literatury do życia bieżącego.

3. Wprowadzanie literatury nowszej i współczesnej w aktualizującym ujmowaniu przeszłości..."

Jest to rzecz nowa w programie nauczania literatury w szkole; wymaga ona niewątpliwie specjalnego opracowania dydaktycznego, bacznej troski polonisty, aby nie przeprowadzać płytkiej aktualizacji, aby nie zestawiać powierzchownie dzieł, zdeterminowanych zupełnie odrębnymi procesami historycznymi, aby wybierać z bieżącej produkcji literackiej utwory o wysokiej wartości artystycznej Twórcy programu mogą tu tylko wyrazić życzenie, żeby poezja współczesna darzyła szkołę najczęściej utworami tak klarownymi artystycznie i ideologicznie, jak piękna „Piosenka na rok 1949" Adama Ważyka ogłoszona niedawno w „Kuźnicy".

III

Czy realizację nowego programu przeprowadzą poloniści, którzy stawiali bardzo dobre oceny maturzystom, przedstawionym w artykule J. A. Króla?

Nie oceniajmy sytuacji (zgodnie z wnioskami red. Króla) zbyt pesymistycznie. Uczynią to i oni, ale trzeba im dać do ręki **nowe podręczniki, nową syntezę literatury polskiej, nową sensowną konstrukcję wyjaśniającą.** Szukajmy znów właściwego sprawcy: nie można **oderwać nowego programu od reformy polonistyki uniwersyteckiej, od rewizjonizmu metodologicznego w naukach humanistycznych.**

Miał rację Jan Kott, gdy pisał w końcu 1947 roku: „Ceterum censeo: bez uczonych, podręczników i historii literatury, i historii Polski nie zmienimy niczego w szkole średniej, ani też nie ruszymy z miejsca w robocie oświatowej". Od tego czasu ukazało się kilkanaście prac, które ułatwią poloniście realizację programu. Ale to wszystko mało.

„...Coraz bardziej przenika do świadomości uczonych konieczność **zerwania z dowolnością, przypadkowością pracy dydaktycznej** — mówiła niedawno wiceminister Eugenia Krassowska (referat na plenarnym posiedzeniu Rady Głównej do Spraw Nauki i Szkolnictwa Wyższego cytuję według „Odrodzenia" nr 10 br.) — przekonanie, że nauczanie na wyższych uczelniach zarówno pod względem metod jak i treści programowych wiązać należy **ściśle z potrzebami i zadaniami państwa w określonym etapie historycznym".**

Wydaje się, że nowy program nauczania literatury jest jednym z tych konkretnych zamówień społecznych. On sam, tworzy w bardzo trudnych warunkach, bo bez oparcia o wypracowaną w szczegółach nową syntezę historyczno-literacką, spotka się z niejedną korekturą. A polonista, przystępując do nowej pracy, czeka na zorganizowaną pomoc uniwersytetów i Instytutu Badań Literackich.

Zygmunt Jakubowski

J. Lukacs

HUMANIZM W SZTUCE

Tłum. E. Marłuszewski



Honoré Balzac
Portret Bertalla

Jest to fragment książki Jerzego Lukacsa, na temat „ideału człowieka harmonijnego", z którym spotykamy się w historii sztuki. Autor rozważa w niej przy tej okazji sprawę realizmu w sztuce. Wprowadzeniem w tym wypadku mogą być słowa Lukacsa, wyjęte z tej samej książki: „Goethe i Schiller zastanawiają się nad zagadnieniem możliwości harmonii w namiętnościach ludzkich. W kilkadziesiąt lat później problem ten stanie się podstawą systemu Fouriera..."

Hegel i Balzac, żyjący w tym samym okresie co Fourier, dostrzegają już sprzeczności kapitalistycznego podziału pracy i to znacznie wyraźniej i szczegółowiej niż Goethe i Schiller w okresie swojej współpracy. Elegijny rys rezygnacji, towarzyszący wszystkim utopijnym nadziejom Goethego i Schillera, pociąga również Fouriera. Wielki myśliciel i wielki realista widzą z bezlitosną wyrazistością nieludzki charakter społeczeństwa kapitalistycznego, spostrzegają jego metody łamania wszelkiej ludzkiej harmonii w każdym człowieku i w każdym z przejawów jego życia. Hegel uważa estetyczną harmonię greckiego życia i sztuki za coś bezpowrotnie straconego: „Duch świata" opuścił sferę estetyki i zdąża w inną stronę. Proza okazała się najważniejszym elementem ludzkości a wielki realista Balzac wykazuje nadzwyczaj precyzyjnie, dlaczego społeczeństwo kapitalistyczne musi spłodzić dysonans i brzydotę we wszystkich przejawach życia ludzkiego, dlaczego wszystkie ludzkie aspiracje do pięknego i harmonijnego życia są podeptane przez ustrój społeczny. Prawdą jest, że można czasem spotkać u Balzaca „wysepki" harmonijnych postaci. Nie są one jednak zarodkami jakiegoś chimerycznego i utopijnego odnowienia świata, a jedynie oderwanymi epizodami, „przypadkowym" wyratowaniem wybranych jednostek, które uniknęły zmiażdżenia przez kapitalizm.

W ten sposób bohaterska walka najlepszych przedstawicieli okresu rewolucji mieszczańskich, walka o ideał człowieka harmonijnego kończy się elegijną żałobą. Można bowiem jedynie opłakiwać bezpowrotną utratę warunków, które umożliwiłyby rozwój ludzkich dążeń i aspiracji w kierunku harmonii. Jedynie w tym wypadku, gdy krytyka społeczeństwa kapitalistycznego przechodzi w przeczucie socjalizmu, elegijna żałoba ustępuje miejsca zakrojonym na wielką skalę, utopijnym marzeniom pierwszych założycieli socjalizmu.

— — — — — — — — —

Wielcy realiści z okresu rozwiniętego już kapitalizmu — weźmy jako typowy przykład Balzaca — w miarę jak dochowując wiary prawdzie, oblekają rzeczywistość w formy literackie, muszą całkowicie wyrzec się myśli o odtwarzaniu piękna życia i ludzkiej harmonii. Jeśli chcą być wielkimi realistami muszą obdarzyć formą artystyczną jedynie takie życie, które pozbawione jest harmonii, a które zarazem bezlitośnie łamie, psuje i upadla piękność i wielkość człowieka i, co gorsze, powoduje wewnętrzną jego deformację. Ostateczny rezultat, jaki mogą oni osiągnąć to wykazanie, że społeczeństwo kapitalistyczne jest wielkim cmentarzem zamordowanej autentyczności i wielkości ludzkiej, że w ustroju kapitalistycznym, jak to z gorzką ironią stwierdza Balzac, ludzie zostają albo kasjerami, albo defraudantami, to znaczy albo eksploatowanymi głupcami, albo łajdakami.

Odważne oskarżenie, będące charakterystyczną cechą twórczości tych pisarzy, odróżnia ich autentyczny realizm od wszelkiego idealizującego akademizmu, uciekającego od dysonansów życia. Mimo to, nawet w tych oskarżycielskich demaskowaniach społeczeństwa kapitalistycznego spotykamy się z rozbieżnościami, zależnymi od tego, w jaki sposób sztuka dochodzi do tego rezultatu. Twórczość artystyczna bądź to przyjmuje za swój punkt wyjścia zniszczenie człowieka, będące rezultatem kapitalizmu, bądź też obejmuje swoim zakresem również walkę z tym zniszczeniem, podkreśla wzniosły charakter i piękno sił ludzkich, które, choć skazane na zagładę, buntują się z większym lub mniejszym skutkiem. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że mamy tu do czynienia jedynie z artystycznym aspektem tego problemu. Istotnie, nie ma tu miejsca na jakąś mechaniczną analogię między takim sposobem jego postawienia, a polityczną i socjalną rewolucją przeciwko kapitalistycznemu i imperialistycznemu barbarzyństwu. Wielu pisarzy lewicowych przyjmuje poniżenie i zniszczenie człowieka przez kapitalizm jako istniejący fakt. Są oni nim głęboko wstrząśnięci i nadają swemu oburzeniu wyraźne piętno artyzmu, przedstawiając i demaskując go w całej jego straszliwej rozciągłości. Są jednak również tacy, u których bunt początkowo nie posiada wyraźnego charakteru politycznego i społecznego, a którzy mimo to odtwarzają z wielką wyrazistością tę codzienną, niemal „cogodzinną" walkę z kapitalistycznym otoczeniem, którą muszą prowadzić ówcześni ludzie, aby zachować swoją człowieczą integralność. Każdy z nich jest skazany w tej walce na klęskę, jeśli jest zdany jedynie na własne siły. Może zwyciężyć tylko wtedy, jeśli odnajdzie żywy kontakt z siłami ludowymi, dającymi gwarancję ostatecznego zwycięstwa humanizmu na płaszczyźnie gospodarczej i politycznej, społecznej i kulturalnej.



Maksym Gorki

Gorki został najwybitniejszym współczesnym pisarzem literatury światowej

dzięki temu, że ten kontakt z siłami ludowymi osiągnął w jego dziełach szczególnie wykończoną formę artystyczną. Nigdy jeszcze okropność życia w społeczeństwie kapitalistycznym nie została tak prawdziwie obnażona, nigdy nie została odmalowana tak ponurymi kolorami, a mimo to jednak ostateczny wynik jest u niego inny niż u większości współczesnych i to nawet wybitnych pisarzy. Gorki bowiem nie wskazuje nigdy bezpośrednio wyniku zaprzepaszczenia przez kapitalizm i pod wpływem kapitalizmu. Pokazuje raczej to, co z jego powodu zginęło oraz sposób, w jaki zostało to dokonane, charakter walki. Pokazuje on piękno ludzkie, organiczne dążenie do harmonii, do rozwijania wrodzonych możliwości stłumionych, zdeformowanych, zaprzepaszczonych, nawet u najgorszych okazów rodzaju ludzkiego. Oskarżenia jego stają się silne i znajdują tak głośne echo właśnie dlatego, że na naszych oczach pokazane jest załamanie się żywych aspiracji do piękności i harmonii.

Droga, którą wskazuje Gorki, przyjmuje poza tym konkretną formę artystyczną. Znaczy to, że pokazuje on, w jaki sposób robotniczy ruch rewolucyjny, w jaki sposób powstanie całego ludu ROZBUDZA CZŁOWIEKA, rozwija go, przyczynia się do rozkwitu jego życia wewnętrznego, daje mu uświadomienie, siłę i delikatność.

W tym właśnie punkcie zasada twórczości artystycznej przechodzi na płaszczyznę polityczną i społeczną. U nikogo wśród ówczesnych pisarzy bunt przeciwko staremu nie jest tak pobudzający a patos nowego tak entuzjastyczny, jak właśnie u Gorkiego.

Ten bunt, ten patos zwycięstwa, pokazane z punktu widzenia żywego człowieka — posiadają jedno jedyne znaczenie, na które już poprzednio położyłem nacisk: NIE KAPITULOWAĆ PRZED KAPITALIZMEM W DZIEDZINIE SZTUKI! Bez wątpienia jasność spojrzenia artystycznego i politycznego znajdują u Gorkiego punkt styczności. Fakt ten wcale nie jest jednak mechaniczną koniecznością. Ściśle rzecz biorąc wystarczy radykalizm o nieco słabszych podstawach filozoficznych i artystycznych, by popaść w poszukiwania natychmiastowej, szybkiej i szerokiej możliwości osiągnięcia wyników, by wpaść w sidła martwego i zabójczego fetyszyzmu. Poza tym wrogość w stosunku do sztuki kapitalistycznej nie jest jednostronna. Każdy prawdziwy artysta — bez względu na to, czy zdaje sobie z tego sprawę czy też nie — musi być wrogiem ustroju kapitalistycznego jako twórca ludzi, jako pragnący pokazać swym czytelnikom ludzi bogatych i pełnych. Może on się uważać za chwilowo „niezaangażowanego", może szukać kryjówki w sceptycyzmie, może nawet uważać się za konserwatystę. Jego niesfałszowany bunt wyrośnie na płaszczyźnie artystycznej, o ile tylko zbyt wielki brak społecznej i intelektualnej jasności widzenia nie przemieni tego oburzenia w romantyczną reakcję przeciwko postępowi ludzkiemu.

Gdy chodzi o obronę podeptanej godności ludzkiej, o obronę istotnej wartości skrępowanego człowieka Anatole France jest bardziej radykalny i bardziej odważny niż Zola, młody Sinclair Lewis bardziej zdecydowany niż Upton Sinclair a Tomasz Mann bardziej niż Dos Passos. Nie jest to kwestią przypadku, że większość wybitnych realistów naszych czasów (będących nimi właśnie dlatego, że bunt ich jest prawdziwie głęboki, dlatego, że naprawdę nienawidzą zbrodniczych założeń ustroju i nie ozdabiają bezwładnych schematów formalistycznymi dekoracjami) większość ich ponad sztuką znalazła drogę, która prowadzi do ludu. Znajdują się wśród nich Romain Rolland, który zaangażował się bodaj najbardziej zdecydowanie. Również drogi rozwoju Henryka i Tomasza Mannów oraz wielu innych powinny skłonić pisarzy postępowych do refleksji na ten temat. Ten bunt najlepszych realistów jest najbardziej charakterystycznym wydarzeniem w sztuce współczesnego świata burżuazyjnego. W okresie tym, mało sprzyjającym wszelkiej działalności artystycznej, która obnaża schyłek kultury mieszczańskiej, bunt ten daje początek wysokowartościowej sztuce. Aby móc osądzić to, co łączy najlepszych przedstawicieli tego niesfałszowanego realizmu z wielkimi tradycjami przeszłości, nie jest rzeczą konieczną wiedzieć, w jakim stopniu świadomie kultywowane tradycje wywierają wpływ na poszczególnych twórców. Mogą one grać dużą rolę (jak na przykład u Romain Rollanda czy Tomasza Manna), decydującym jednak jest więź obiektywna, obiektywna kontynuacja największych problemów humanistycznych poprzedniego rozwoju ludzkości. Jest to kontynuacja, nawiązująca łączność ze specyficznymi i aktualnymi warunkami naszych czasów. W naszym przypadku jest to zwalczanie w kulturze kapitalistycznej tego, przeciwko czemu wielki artysta winien się zbuntować w obronie swojej sztuki.

J. Lukacs
R. 1938

Konstanty Grzybowski

REALNA I NIEREALNA POLITYKA WOBEC NIEMIEC

Pozory, fasady konstytucyj, partyj politycznych, polityki okupanta zachodniego, zasłaniają niezmiernie często rzeczywistość niemiecką. Skłaniają do zdania — słusznego tylko w pewnym stopniu i do pewnego czasu, jakoby po czterech latach okupacji zarysował się ostry i trwały podział na dwa społeczeństwa niemieckie: wschodnie, zmierzające ku socjalizmowi, zdenazyfikowane, pokojowe, i zachodnie o niezłamanych wpływach hitlerowskich, kapitalistyczne, zaborcze. Sądzę, że rzeczywistość jest nieco odmienna. W Niemczech jako całości zaszły zmiany, od polityki okupantów niezależne, które powodują, że powojenne Niemcy muszą być czym innym, niż Niemcy przedwojenne. Zmiany takie same na zachodzie jak i na wschodzie Niemiec. Różnica między zachodem i wschodem polega zaś na tym, że polityka okupanta radzieckiego pozostaje w zgodzie z tymi zmianami — i także dlatego jest postępowa. Polityka okupantów zachodnich zaś działa tak, jakby te zmiany nie zaszły — i także dla tego reakcyjna.



J. D. Rockefeller



Dla kogo pracuje przemysł Zagłębia Ruhry?



J. P. Morgan

*

Zmiana pierwsza — to zasadnicza zmiana w strukturze demograficznej narodu niemieckiego, w jego sile biologicznej. Pozornie Niemcy stały się w jeszcze wyższym stopniu niż przed wojną „narodem bez przestrzeni" — wszak na obszarze, na którym przed rokiem 1939 mieszkało niecałe 60 milionów ludności, dziś mieszka przeszło 65 milionów (a wedle obliczeń niemieckich po powrocie jeńców wojennych i zakończeniu akcji przesiedleńczych będzie około 69 milionów). Pozornie jeszcze mniejsza przestrzeń ziemi musi wyżywić jeszcze większą liczbę ludności. Ale tylko pozornie, tylko chwilowo. Procentowy stosunek do siebie poszczególnych klas wieku, procentowy stosunek mężczyzn do kobiet, zmiany w przyroście ludności wskazują, iż jest to zjawisko tylko chwilowe. A równocześnie wskazują, że ilość Niemców w wieku zdolności do pracy jest mniejsza niż przed wojną — tak że gdyby Niemcy posiadały nawet większe tereny — nie miałyby ludzi, którzy by mogli na nich pracować.

a) W r. 1910 mężczyźni w wieku od 20 do 40 lat stanowili blisko 31% ogółu mężczyzn, w r. 1946 — tylko 21%. Roczniki zdolne do pracy są najbardziej przerzedzone. Najwybitniejszy dziś niemiecki demograf-statystyk Sauermann oblicza, iż w miejsce 22 milionów zdolnych do pracy mężczyzn (rok 1939) mają ich dziś Niemcy tylko niecałe 17 milionów, a w rocznikach 25 — 30 lat stracili 60% mężczyzn zdolnych do pracy. Niemcom nie grozi bezrobocie z powodu utraty ziem wschodnich, Niemcom grozi brak rąk do pracy mimo utraty ziem wschodnich. A równocześnie zmniejszona liczba mężczyzn w wieku płodności wyklucza odrobienie tego braku w przyszłości.

b) Nie zaradzą mu również roczniki najmłodsze. Mężczyźni poniżej 14 lat stanowili w r. 1910 — 32% ogółu, stanowią w roku 1946 — 26% ogółu — a są to roczniki nietknięte przez bezpośrednie straty wojenne. Te roczniki, po dojściu do wieku zdolności do pracy i do wieku płodności nie potrafią uzupełnić strat biologicznych Niemiec, nie potrafią zapewnić nawet tego stanu rzeczy, by ludność Niemiec nie malała [1].

c) Na ludności tej natomiast ciąży w o wiele wyższym stopniu niż dawniej ciężar utrzymywania osób niezdolnych do pracy. Raz z powodu wyższego odsetka ludzi podeszłego wieku. Mężczyźni powyżej 65 lat życia stanowili w roku 1910 4% ogółu ludności (kobiety — 5%), stanowią w roku 1946 — 9% ogółu ludności (kobiety również 9%). Doliczywszy do tego inwalidów wojennych, wyżej wspomniany Sauermann dochodzi do wniosku, iż w roku 1939 na jednego pracującego Niemca wypadał jeden niezdolny do pracy (z powodu zbyt niskiego lub zbyt podeszłego wieku) dziś zaś — dwóch niezdolnych do pracy. Nie można nie doceniać wpływu tego zjawiska, na stopę życiową społeczeństwa.

Konkluzja: Niemcy już dziś nie mają tylu rąk do pracy, ile wymaga zagospodarowanie tych obszarów, które im pozostały. Niemcy weszły w okres **dekadencji ludnościowej.** Już przed r. 1939 uczeni niemieccy (Burgdorffer) przewidywali, że ludność Niemiec zacznie spadać od r. 1950. Dziś Sauermann koryguje obliczenia przedwojenne w uwzględnieniu strat wojennych i stawia tezę, iż w ciągu najbliższych lat pięćdziesięciu ludność Niemiec może spaść do połowy obecnego stanu.

*

Utrzymanie podstaw dla społecznej akcepcji kapitalizmu jest możliwe tylko przy istnieniu mitu, iż kapitalizm zapewnia każdemu możność wybicia się. Społeczną podstawą tej mistyfikacji jest zaś istnienie **silnych klas pośrednich**, stwarzających pozory łagodzenia walki klasowej. I jedno i drugie w Niemczech nie istnieje. Pierwszy cios zadała klasom pośrednim inflacja niemiecka lat 1919—1924, będąca w istocie wielkim wywłaszczeniem drobnego rentiera, drobnego rzemieślnika, drobnego kupca przez wielki kapitał niemiecki. Drugi cios zadała mu polityka gospodarcza hitleryzmu, popierająca w sposób niezmiernie intensywny koncentrację wielkokapitalistyczną. Trzecim ciosem stały się skutki klęski w II wojnie światowej. W rezultacie nawet szacunkowe obliczenia anglosaskie stwierdzają, że w wyniku II wojny światowej oraz jej skutków, klasa średnia niemiecka stopniała przeszło o połowę i kurczy się coraz bardziej — przed 1939 stanowiła jeszcze niewiele mniej niż 1/3 ogółu ludności, dziś spadła naokoło 15% ogółu (w strefach zachodnich). Niemcy stały się krajem o niesłychanie szczupłej klasie wielkokapitalistycznej, o niesłychanie licznej i coraz bardziej rosnącej masie proletariackiej i coraz bardziej niknących klasach pośrednich.

*

Oczywiście — istnieją kraje o tego rodzaju strukturze społecznej. Ale będą to albo kraje eksploatujące inne społeczeństwa, albo kraje eksploatowane przez inne społeczeństwa. Z jednej strony więc będą to kraje wielkiego monopolu kapitału, żyjące z eksploatacji ludności własnych kolonii politycznych i gospodarczych, odrzucające własnemu swemu proletariatowi skromne okruchy z eksploatacji proletariatu własnych kolonij i dzięki temu bądź powstrzymujące — do czasu — powstanie antykapitalistycznych stronnictw proletariackich (jak w Stanach Zjednoczonych), bądź stwarzające przy pomocy tych części proletariatu, które uległy wpływom drobnomieszczańskim, stronnictwa z nazwy socjalistyczne, z istoty swej demokratyczno-drobnomieszczańskie, z funkcji społecznej, którą w istocie spełniają, podtrzymujące kapitalizm przy pomocy pseudo-socjalistycznej mistyfikacji (jak np. w Anglii).

Z drugiej zaś strony mamy ten sam typ struktury społecznej w krajach eksploatowanych przez kapitalizm monopolistyczny. Tu znów mamy szczupłą warstewkę wielkokapitalistyczną własną (w istocie wielki kapitał, poza rolnym, jest prawie w całości w rękach obcych), wielkie masy proletariatu, najczęściej rolnego, bezwzględnie eksploatowanego, utrzymywanego w posłuszeństwie przy pomocy obcego aparatu rządzącego, obcej armii i pewnej części własnych klas pośrednich tego eksploatowanego kraju. To typ kolonii politycznych jak Indie i kolonii gospodarczych obcego kapitału, jak Polska, jak kraje bałkańskie przed 1939 — w tych ostatnich z tą różnicą, że funkcje obcego żandarma pełnią własne faszystowskie lub faszyzujące rządy.

Wydaje się, że okupanci anglosascy, zwłaszcza decydujący okupant amerykański, chcą swą część Niemiec przekształcić w kraj tego typu. Wskazuje na to szereg faktów. A więc nie chcą oni oznaczyć czasokresu okupacji — bo przyczyną okupacji

[1] Dane z artykułu dr. S. Waszaka, w zeszycie styczniowym „Państwa i Prawa", poświęconym specjalnie zagadnieniom niemieckim.

nie jest likwidacja hitleryzmu, ale dostarczenie narzędzia dla panowania kapitału amerykańskiego w Niemczech. A więc nie chcą reformy rolnej — bo praktyka wykazała, że warstwa obszarnicza jest najlepszym sojusznikiem obcego wielkiego kapitału. A więc nie chcą nacjonalizacji górnictwa i przemysłu niemieckiego — bo kapitał amerykański już w nim posiada wielki udział i pragnie go nadal powiększać. Niemcy mają być w środku Europy krajem, spełniającym wobec kapitału amerykańskiego tę samą funkcję, jaką spełniają dziś wobec tego kapitału kraje Ameryki Południowej, jaką spełniały długo Indie wobec Anglii, jaka była przewidziana dla Chin Czang-Kai-Szeka.

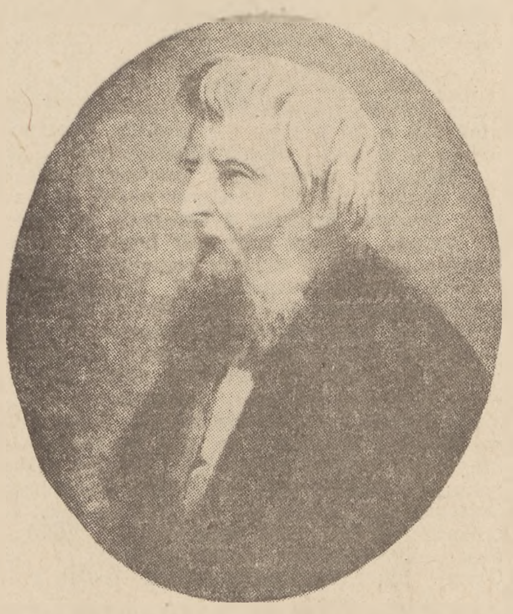
*

I tu — sądziłbym — tkwi najistotniejsza przyczyna niemożności porozumienia się między radzieckim a anglosaskim programem Niemiec. Polityka radziecka jest polityką realistyczną i polityką niemiecką. Była realistyczną, gdy poparła polskie żądania w sprawie naszych granic zachodnich, bo żądania te były w interesie pokoju, a dla Niemiec z ich strukturą demograficzną nie były żadną katastrofą. Była realistyczną, gdy dopomogła Niemcom wschodnim przy wejściu na drogę do socjalizmu — bo było to uzasadnione i w interesie pokoju (zniszczenie imperialistycznych klas junkierskich i wielkoprzemysłowej) i było uzasadnione strukturą społeczną Niemiec, nie dającą oparcia dla utrzymania kapitalizmu. I jest niemiecką — bo uważa za swe zadanie likwidację wpływów faszystowskich, wychowanie Niemiec do demokracji — a po dokonaniu tego powrót ich do samodzielnego zawiadywania swymi sprawami. Pomyłką zaś w rachunku amerykańskim jest przypuszczenie, że można w środku Europy, w kraju wysoce uprzemysłowionym, o licznym i klasowo uświadomionym proletariacie, stosować trwale te same metody, co w Ameryce Południowej, czy w Indiach, czy w Chinach. I tylko przez jakiś czas może liczyć na powodzenie mistyfikacja, iż „wychowanie do demokracji“ jest identyczne z wychowaniem do spełniania funkcji, wskazanych przez amerykańskie koncerny. Ale na długą metę taka polityka musi zawieść.

Konstanty Grzybowski

Witold Łukaszewicz

Emigracja po powstaniu listopadowym (1831—1834)



Joachim Lelewel

I

OGOLNA CHARAKTERYSTYKA EMIGRACJI

W październiku 1831 r. znalazło się w Galicji i zaborze pruskim łącznie około 50 tys. wojska powstańczego, które schroniło się tam w różnych okresach walki, uchodząc przed zemstą cara Mikołaja I. Część oficerów i żołnierzy zaufała carskiej amnestii i wróciła do zaboru rosyjskiego, większość korpusu oficerskiego oraz wielu wiarusów postanowiła udać się na emigrację. Oczy ich były zwrócone na Francję, z którą wiązały Polaków żywe wspomnienia czasów napoleońskich i nęciła wizja nowych legionów. Rząd francuski pod naciskiem społeczeństwa sprzyjającego emigrantom udzielił zasiłków dla internowanych w Austrii i Prusach powstańców na podróż do Francji.

Władze austriackie i pruskie starały się utrudniać Polakom przedostanie się na Zachód, zmuszając ich nieraz siłą do przyjmowania carskiej amnestii i do powrotu na teren zaboru rosyjskiego. Szczególną brutalnością w stosunku do żołnierzy-powstańców odznaczali się Prusacy. W Elblągu szarżowali na bezbronnych żołnierzy polskich pruscy husarzy, w Fischau witano Polaków salwami piechoty, aby zmusić ich do powrotu do Królestwa Polskiego. Najcięższe koleje przechodziła grupa podoficerów i żołnierzy, skazana przez władze pruskie na przymusowe roboty forteczne w twierdzy Grudziądz, którą zwolniono z katorgi dopiero w końcu 1833 r.

Przemarszem emigrantów przez kraje niemieckie w drodze na Zachód kierował gen. Józef Bem przy finansowym poparciu komitetów pomocy: Franko-Polskiego pod prezydencją gen. Lafayette'a i Amerykańsko-Polskiego, któremu prezesował zasłużony Samuel Howe. Demokratycznie usposobiona ludność niemiecka, szwajcarska i francuska witała entuzjastycznie tułaczów polskich, wielbiąc w nich bojowników wolności przeciw despotyzmowi Św. Przymierza. W serca emigrantów polskich zaczęła wstępować pod wpływem tych objawów braterstwa rewolucyjnego wiara w rychłe odrodzenie się Polski za sprawą i przy współdziałaniu ludów.

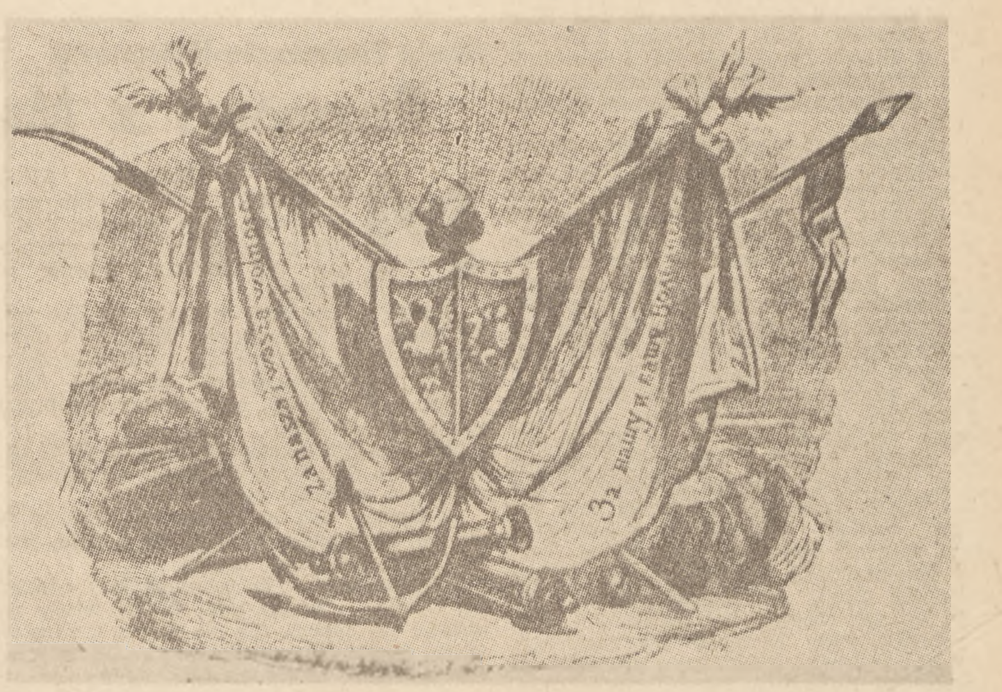
Wychodźstwo polskie liczyło od 9 do 10 tys. osób, było więc, jak na owe czasy, dość liczne. O wiele ważniejszą rzeczą od liczby emigrantów była ich jakość. Na emigracji znalazły się najlepsze, najczynniejsze, najzdolniejsze i najbardziej wpływowe jednostki społeczeństwa szlacheckiego, które kierowało powstaniem, a więc członkowie rządu, sejmu, administracji cywilnej, zasłużeni wojskowi od wodzów do szeregowców, młodzież akademicka głównie z Litwy i Rusi, adwokaci, lekarze, dziennikarze, poeci itp.

Gdy stanęli nasi wędrowcy na ziemi francuskiej, pozbyli się rychło złudnych nadziei pokładanych w rządzie króla bankierów — Ludwika Filipa. Zrozumieli, że byli ludźmi o ograniczonych prawach obywatelskich, narażeni na zniewagi ze strony francuskich władz cywilnych i wojskowych, zagrożeni wydaleniem w drodze administracyjnej lub więzieniem za sprzeciw woli rządowej. Burżuazja rządząca Francją tzw. „juste milieu“ (słuszny środek) była zadowolona, że nareszcie porządek zapanował nad Wisłą. Zgasł płomień rewolucji polskiej, który nabawił strachu cara-samodzierżcę, burżuazja francuska lękając się nowej rewolucji u siebie nie chciała korzystać ze strachu Mikołaja I i udzielić pomocy polskim sankiulotom w kontuszach. Ambasador Mikołaja, Pozzo di Borgo, nadawał ton tchórzliwej polityce zagranicznej i wewnętrznej Ludwika Filipa, korzystając z poparcia przedstawicieli dyplomatycznych Prus i Austrii. Św. Przymierze uchwyciło za gardło wszelką myśl wolnościową we Francji i usiłowało ją zdusić, zanim by zdążyła zejść do podziemia. Francja traciła na swej opinii w oczach uciemiężonych ludów: gasł nimb barykad lipcowych 1830 r., głuchł śpiew bojowy „Marsylianki“, porządek panował w Warszawie, miał on również przez lat siedemnaście zaciskać obrożę na szyi Francuzów.

Emigrantów polskich, przybywających do Francji na przełomie 1831/32, skierowano do koszar na prowincji, tzw. Zakładów (dépôts). Zabraniano im osiedlać się w Paryżu w obawie przed rozruchami. Cywilnych kierowano do zakładu w Châteauroux, wojskowych umieszczono w zakładach: w Avignon i Besançon, wyznaczając wszystkim specjalny zasiłek miesięczny, zwany „żołdem“. Komitety francusko-polskie niosły dla emigrantów wydatną pomoc w odzieży i w pieniądzach. Napływały także ofiary ze Szwajcarii, Belgii, Rzeszy Niemieckiej, Szwecji, Norwegii i Stanów Zjednoczonych AP.

Emigracja polska przechodziła przez dwie zasadnicze fazy nastrojów, z którymi wiąże się ściśle geneza obozów politycznych i ich programów. Pierwsza faza obejmuje lata 1831—1834; cechuje ją powszechna wśród większości wychodźstwa polskiego wiara w rewolucję europejską z udziałem ludów: francuskiego, polskiego, włoskiego i niemieckiego. Wystąpią one solidarnie przeciw tyrańskim rządom i obalą je. Polska powstanie za sprawą zrewolucjonizowanych ludów. Część emigracji, konserwatywna, skupiająca się wokół księcia Adama Czartoryskiego, nazywana „arystokracją“ przez demokratów, stawiała na konflikty dyplomatyczne między Św. Przymierzem a Anglią i Francją i wiązała odrodzenie Polski z wybuchem wojny. Zamyka tę fazę bolesne rozczarowanie: prysły nadzieje na europejską rewolucję; podejmowane próby wywołania powstania w zaborze rosyjskim, we Frankfurcie n. Menem, Sabaudii, Lyonie i Paryżu (1833—1834) skończyły się niepowodzeniem. Musztrujący się po zakładach emigranci polscy zaczęli zamieniać regulaminy wojskowe na rozprawy Babeufa, Saint-Simona, Bucheza, Fouriera, Lamennais, rozczytywać się w opisach Rewolucji Francuskiej pióra utopijnego komunisty Laponneraye'a. Żołnierz-tułacz polski przeobrażał się w emigracyjnego polityka, tworzył „ustawy“ dla rodzących się, jak grzyby po deszczu, stowarzyszeń wychodźczych, wydawał szumne odezwy, stawiał na porządku obrad zgromadzeń zakładowych zagadnienia odpowiedzialności za upadek powstania. Rozgoryczały go złudy dyplomatycznych konfliktów, nie chciał iść na mięso armatnie do Algieru, Portugalii, Egiptu, Hiszpanii, dokąd go pchano siłą fizyczną i pieniądza lub błędną radą. Nie chciał być kondotierem, bo rozumiał, że krew emigranta należy się Polsce, że nad Wisłą wolno ją jedynie bez obrazy godności tułaczej przelewać. Rewolucję chciał nieść na ziemie polskie, rewolucję — z udziałem wszystkich Polaków bez różnicy stanu i wyznania. Przed spłakanymi oczyma większości emigrantów majaczyła się Polska nowa, bez króla, szlachty i pańszczyzny, wolna — „gminowładna“.

Druga faza obejmuje lata 1834—1840. Cechuje ją wyraźne wyodrębnianie się programowe stronnictw emigracyjnych w czterech zasadniczych kierunkach: 1) republikańsko - narodowym (leleweliści); 2) demokratyczno-ludowym (Tow. Demokratyczne Polskie); 3) utopijno-komunistycznym (Lud Polski z gromadami „Grudziąz“ i „Humań“) i 4) monarchistyczno - konstytucyjno - zachowawczym (czartoryszczycy — Hotel Lambert). Wszystkie wymienione obozy dążą do niepodległości Polski, lecz różnią się przede wszystkim poglądami na jej ustrój społeczno-polityczny i metodami działania. Znamionuje ten okres silna działalność agitacyjna na emigracji i zawiązywanie sieci spiskowej w kraju z zamiarem wywołania ogólnopolskiego powstania.



„Za naszą i waszą wolność“
(winieta z „Orła Białego“ r. 1839)

FORMOWANIE SIĘ ZWIĄZKÓW EMIGRACYJNYCH W LATACH 1831—1834

W Paryżu zaczęły najpierw powstawać zręby organizacyjne emigracji polskiej. 6 listopada 1831 r. Bonawentura Niemojowski powołał wraz z 26 emigrantami Komitet Tymczasowy Emigracji, w którym objął prezesurę. Prócz niego weszli do Komitetu: Teodor Morawski, Franciszek Wołowski, Kantorbery Tymowski i Joachim Lelewel. Większość w Komitecie tworzyli ludzie umiarkowani, byli dygnitarze sejmowi i rządowi. Jedynie Lelewel reprezentował lewicę powstańczą i emigracyjną. Komitet Niemojowskiego zakreślił sobie zadania natury administracyjnej, troszcząc się przede wszystkim o zapewnienie pomocy materialnej dla wychodźstwa i unikając mieszania się do polityki. Żywot Komitetu był krótki. Zaatakowali go gwałtownie byli klubiści z Towarzystwa Patriotycznego z Maurycym Mochnackim na czele (broszura: „Do rodaków bawiących w Paryżu“), domagając się usunięcia z Komitetu tych „co zgubili Polskę“.

15 grudnia 1831 r. Komitet Niemojowskiego ustąpił miejsca nowej władzy, wybranej przez „Ogół“ emigrantów przebywających w Paryżu. Nowy Komitet przyjął nazwę Komitetu Narodowego Polskiego, jego prezesem został Joachim Lelewel. W skład Komitetu weszli: Walenty Zwierkowski, Leonard Chodźko, Roman Sołtyk, Tadeusz Krępowiecki, Karol Kraitsir, Antoni Przeciszewski, Antoni Hłuszniewicz, Adam Gurowski jako członkowie, skarbnikiem został Karol Edward Wodziński, sekretarzem Walerian Pietkiewicz. Wymienione osoby stanowiły radykalny odłam emigracji.

Joachim Lelewel był osobą centralną w Komitecie. Maurycy Mochnacki, najzdolniejszy nasz publicysta z doby powstaniowej, nazywał Lelewela „rozmnożycielem i patronem rewolucyjnych przekonań“. Nazwa ta była uzasadniona. Joachim Lelewel był człowiekiem wybitnym, światowej sławy uczonym, ostrożnym aż do przesady w działaniu, lawirował w polityce, lubił intrygować. Z przekonań był szczerym demokratą i republikaninem, konspirowanie przeciw despotyzmowi uważał za część swego jestestwa. Polskę pojmował jako demokratyczną republikę federacyjną, opartą na unii dobrowolnej narodów: polskiego, litewskiego i ruskiego i urządzoną na zasadach tzw. gminowładztwa, które tłumaczył jako ustrój bezstanowy u pierwotnych Słowian. Stąd wyprowadzał Lelewel teorię o pierwotnym obywatelstwie chłopa polskiego, o wspólnym władaniu ziemią, która była „nie moja, nie twoja, ale nasza mirska, ziemia ludu, święta“. Autorytet naukowy i wrodzona u Lelewela niechęć do arystokracji i przywilejów wyniosły go szybko na czoło tułactwa polskiego na Zachodzie i uczyniły głośnym w kraju i Europie.

Komitet Lelewela stał się ośrodkiem propagandy demokratyzmu i republikanizmu wśród emigrantów i rodaków pod zaborami. Zwolenników Lelewela nazwano w żargonie emigracyjnym „lelewelistami“. Leleweliści-republikanie nie okazywali jednak jednolitości ani pod względem społecznym, ani programowym (ideowym). Rekrutowali się głównie spośród młodzi oficerskiej i żołnierskiej na emigracji oraz niezamożnej szlachty i mieszczan w kraju. Pod względem ideowym tworzyli leleweliści mozaikę: od liberalnych konserwatystów do skrajnych rewolucyjnych demokratów. Różnorodność żywiołów, które składały się na obóz Lelewela sprawiła, że był on szkółką, z której wzięły początek różne organizacje emigracyjne demokratyczno-republikańskie.

Komitet Lelewela zainstalował się na trzecim piętrze w gmachu przy ulicy Taranne 12, w którym mieściły się również biura Komitetu Franko-Polskiego gen. Lafayette'a. Tu odbywały się zebrania „Ogółu“ paryskiego, na których namiętnie dyskutowano na tematy społeczno-polityczne i roztrząsano przyczyny upadku powstania listopadowego. Od miejsca obrad przezwano Komitet Lelewela „Taranem“. „Taran“ lelewelowski stał się w życiu emigracji kuźnicą ideologii demokratycznej, republikańskiej i socjalistyczno-utopijnej.

W przeciwieństwie do Komitetu Niemojowskiego Komitet Lelewela postawił sobie za cel „czuwanie nad interesem narodowym“. Dla jego osiągnięcia łączył się z lewicą francuską i europejską przeciw absolutyzmowi monarchów Św. Przymierza i Ludwikowi Filipowi, rzucał hasła powstania ludów przeciw królom; Europę dzielił na dwa wrogie obozy: pierwszy — postępu i wolności, ludowy, demokratyczny; drugi — despotyzmu i przywilejów feudalnych. W odezwach do Węgrów, Niemców, Włochów, do prezydenta i społeczeństwa amerykańskiego, do parlamentu angielskiego i francuskiego, Komitet lelewelowski podkreślał nieprzedawnione prawa Polaków do niepodległości i prosił o ich uznanie i poparcie. Równolegle z tą akcją zewnętrzno-propagandową szła wewnętrzna, zmierzająca do uchronienia przybywających do Francji grup emigracyjnych tzw. kolumn przed wpływami obozu czartoryszczyków, który przez swych zaufanych, głównie gen. Bema, chciał użyć wychodźców polskich do formowania legii pod obcymi sztandarami. Kaptowanie emigrantów przez Komitet Lelewela stało się powodem ostrego konfliktu między nim a gen. Bemem i jego poplecznikami — konserwatystami, do których zalicza się emigracyjna starszyzna oficerska.

Tymczasem organizowały się zakłady w Avignon, Besançon, Châteauroux, Bourges, wyłaniając tzw. „Rady“ i „Ogóły“, które miały czuwać nad wszystkimi sprawami danego skupiska emigrantów. Rząd francuski rozciągnął surowy nadzór policyjny nad zakładami i ograniczył swobodę ruchów poszczególnych emigrantów. Komitet Lelewela usiłował rozciągnąć swą władzę nad całą emi-

W NASTĘPNYM NUMERZE „WSI“
„NIEZNANE LISTY JOACHIMA LELEWELA“

gracją i podporządkować sobie Rady zakładów. Akcja Lelewela spotkała się z gwałtownym oporem konserwatywnych kół wojskowych i cywilnych, które domagały się wyboru nowej władzy emigracyjnej przez wybory powszechne tułactwa. Komitetowi Lelewela zarzucano, że został wybrany tylko przez 87 emigrantów „Ogółu" paryskiego, dlatego nie ma prawa reprezentowania całej emigracji.

Z akcją czartoryszczyków, którzy podszczuwali zakłady przeciw Lelewelowi zbiegło się również działanie skrajnej opozycji demokratycznej w łonie samego Komitetu i „Ogółu" paryskiego. Opozycja ta pod przewodem głośnych klubistów warszawskich z czasów powstania: Tadeusza Krępowieckiego i Adama Gurowskiego zarzucała Komitetowi Lelewela brak zrozumienia dla „wysokości swego powołania", dalej brak śmiałości i siły w wystąpieniach zewnętrznych i domagała się zdecydowanego wypowiedzenia się za równouprawnieniem i uwłaszczeniem włościan. Nadto żądała od Komitetu, aby zacieśnił swe związki z obozem rewolucyjnym w Europie, nawiązując porozumienie z rewolucjonistami rosyjskimi, niemieckimi, włoskimi, hiszpańskimi, żydowskimi itd. Gdy „Ogół" tarański pod wpływem Lelewela uznał, w obawie przed represjami ze strony władz francuskich, takie deklaracje za niecelowe, nastąpił rozłam w Komitecie 16 marca 1832 r.

Krępowiecki i Gurowski wystąpili z Komitetu Lelewela i dobrawszy sobie kilkunastu towarzyszy spośród niezadowolonych z polityki „Taranu" założyli nazajutrz Towarzystwo Demokratyczne Polskie. Zaszedł w życiu emigracji fakt o wielkim znaczeniu na przyszłość. Radykalna myśl demokratyczno-republikańska odszczepiła się od pnia lelewelistycznego, by pójść własnym torem i wypisać na swym sztandarze ważkie słowa: „Dla ludu przez lud". Rozłamowcy byli ludźmi młodymi, wielu z nich tkwiło we francuskim rewolucyjnym ruchu podziemnym — karbonarskim. Ogniskiem tego ruchu był Paryż, gdzie działała naczelna władza karbonarska — tzw. Najwyższy Namiot Powszechny (La Haute Vente Universelle). Według jego dyrektyw działali Krępowiecki i Gurowski, główni sprawcy rozłamu w Komitecie Lelewela. Karbonaryzm francuski i jego polscy zwolennicy głosili komunizm utopijny Babeufa, którego uczniem był Buonarotti Filip, szef Najwyższego Namiotu Powszechnego. Wpływy utopijnego komunizmu ujawniły się w pierwszej deklaracji Towarzystwa Demokratycznego Polskiego — „Akcie założenia" z dn. 17 marca 1832 r.

Rozłam marcowy osłabił poważnie pozycję Komitetu Lelewela wśród emigracji. Zakłady zaczęły jeszcze natarczywiej domagać się wyboru nowej władzy naczelnej i wysuwały różne projekty jej składu osobowego. Najbardziej umiarkowani emigranci skłaniali się nawet do oddania pod opiekę całości tułactwa Radzie Generałów sprzyjających Czartoryskiemu. W tych okolicznościach Komitet Lelewela starał się pokryć porażki wewnętrzne przez wydanie nowej serii odezw propagandowych do lewicy europejskiej i wchodził z nią za pośrednictwem rewolucjonistów francuskich w tajne rokowania, które prowadzili z upoważnienia prezesa Leonard Chodźko i Stanisław Worcell. Oni to układali się z republikanami francuskimi, zrzeszonymi w parakarbonarskich stowarzyszeniach jak: Przyjaciół Ludu (Les Amis du Peuple), którym kierował Godfryd Cavaignac oraz „Pomagaj sobie, niebo ci pomoże" (Aide toi, le ciel t'aidera) Stefana Garnier-Pagèsa. Stowarzyszenia te dążyły do obalenia rządów Ludwika Filipa i ustanowienia we Francji republiki demokratycznej. Podlegały one karbonarskiemu Najwyższemu Namiotowi Powszechnemu Filipa Buonarottiego.

Równolegle z tymi rokowaniami śledził Komitet Lelewela poczynania Czartoryskiego i jego pełnomocników w Anglii, zmierzające do zainteresowania parlamentu, rządu i opinii publicznej sprawą polską. Czartoryski doprowadził do postawienia przez posła Cuttalara Fergussona w kwietniu i czerwcu 1832 r. w Izbie Gmin wniosków w sprawie naruszenia przez Mikołaja I postanowień Kongresu Wiedeńskiego odnośnie Królestwa Polskiego. Zabiegi czartoryszczyków denerwowały lelewelistów i Towarzystwo Demokratyczne Polskie. Uznali oni, że należy zaprotestować przed parlamentem i opinią angielską nie przeciw pogwałceniu przez cara konstytucji Królestwa, lecz w ogóle przeciw rozbiorom Polski. W związku z tym Towarzystwo Demokratyczne wydało 8 maja 1832 r. „Protestację przeciw traktatom od 1772 do 1815 r. Polskę rozszarpującym", przełożyło ją na angielski i wysłało do Londynu przez A. Gurowskiego. Za przykładem Demokratów poszedł J. Lelewel i wystosował w imieniu swego Komitetu tzw. „Adres tułaczów polskich we Francji do Izby Niższej Wielkiej Brytanii i Irlandii", podpisany przez 1622 emigrantów z różnych zakładów. Niestety zarówno zabiegi Demokratów jak i Lelewela na gruncie angielskim skończyły się niepowodzeniem. W Anglii przeważał w tym czasie wpływ Czartoryskiego.

W lecie 1832 r. na firmamencie emigracyjnym zabłysła nowa gwiazda, gen. Józef Dwernicki, sławny zwycięzca spod Stoczka i Boremla, dobrze widziany przez młodzież oficerską po zakładach. Po kilkakrotnych konferencjach porozumiewawczych różnych delegatów Rad zakładów wybrano nareszcie 18 września 1832 r. na zjeździe w Bourges 15-osobowy Komitet z gen. Dwernickim jako prezesem. W miesiąc później nastąpiło w Paryżu ukonstytuowanie się nowej władzy emigracyjnej pod oficjalną nazwą Komitetu Narodowego Emigracji Polskiej. Lelewel, jego powiernik Zwierkowski, oraz kilku innych członków wybranych w Bourges do Komitetu Dwernickiego, nie przyjęło wyboru. Nowy komitet składał się z ludzi o różnych poglądach i nie miał określonego oblicza politycznego jako ciało, mające kierować emigracją. W języku demokratów i lelewelistów nazywano Komitet Dwernickiego „półśrodkowym", tzn. zajmującym pośrednie miejsce między lewicą i prawicą wychodźstwa.

Lelewel nie skapitulował wobec woli zakładów, nie uznał Komitetu Dwernickiego, prezesując nadal własnemu Komitetowi i prowadząc zebrania „Ogółu" taranskiego. Między Komitetem Lelewela i Komitetem Dwernickiego rozgorzała zaciekła walka. Lelewela popierali w niej demokraci, Dwernickiego czartoryszczycy. Emigranci po zakładach dzielili się na stronników demokracji i arystokracji, mnożyły się bójki i pojedynki między lelewelistami i wspierającymi ich demokratami a czartoryszczykami i kumającymi się z nimi „półśrodkowcami". Lelewel dla wzmocnienia powagi swego Komitetu wydał nową serię odezw, między nimi dwie szczególnej doniosłości: 1) „Do Ludu Izraelskiego", 2) „Do Braci Rosyan" oraz zaatakował francuską Izbę Deputowanych „dopominając się o narodowość" polską, tyle razy przez tron i Izbę zaręczaną". W odezwie do Izraelitów podnosił pełne prawa Żydów do obywatelstwa i wzywał ich do solidaryzowania się z narodem polskim w walce przeciw caratowi. Najsilniejszym echem na emigracji i w kraju odbiła się odezwa „Do Braci Rosyan", w której Lelewel przypominał narodowi rosyjskiemu braterstwo słowiańskie, przypieczętowane krwią dekabrystów. Pestela, Bestużewa, Rylejewa, Murawiewa Apostoła i innych, wzywał do solidarnej walki z caratem pod hasłem z czasów powstania listopadowego: „Za naszą i waszą wolność". Odezwa ta wywołała demarche ambasadora rosyjskiego w Paryżu u rządu francuskiego, który rozpędził 24 grudnia 1832 r. Komitet Lelewela. Był to wszakże powód uboczny. Przyczyna rozpędzenia Komitetu leżała gdzie indziej. Oto władze policyjne dowiedziały się o przygotowywaniu przez Lelewela w porozumieniu z podziemiem francuskim wyprawy partyzanckiej płk. Józefa Zaliwskiego do Królestwa Polskiego i postanowiły jej przeciwdziałać przez rozbicie ośrodka dyspozycji — Komitetu Lelewela. Przygotowaniami do wyprawy kierowała tajna organizacja, powołana przez Lelewela na wzór karbonarski, pod nzwą „Zemsta Ludu". Należeli do niej: Lelewel, Zwierkowski, Worcell, Leonard Chodźko, Walerian Pietkiewicz i jako naczelny wódz wyprawy Józef Zaliwski. Organizacja podjęła na przełomie 1832/33 r. werbunek ochotników po zakładach i kierowała ich partiami do Krakowa i Galicji jako głównych baz wypadowych do zaboru rosyjskiego.

Władze policyjne francuskie nakazały Lelewelowi w końcu grudnia 1832 r. usunąć się z Paryża do Lagrange, by go w pierwszej połowie marca 1833 r. przenieść pod eskortą do Tours, wreszcie w początkach sierpnia tegoż roku wydać nakaz opuszczenia Francji. Wówczas Lelewel pieszo, z tobołem na plecach, w bluzie robotniczej, udał się na wygnanie do Brukseli.

Pozostałych członków Komitetu Lelewela i „Zemsty Ludu" dosięgły również prześladowania, niektórzy z nich (Worcell) dostali się nawet przejściowo do więzienia przed wydaleniem z Francji.

Do zapasów o „rząd dusz" w emigracji stanął prócz Lelewela, Czartoryskiego, gen. Dwernickiego i Towarzystwa Demokratycznego Polskiego kadłubowy sejm powstańczy. Na emigracji znalazło się wielu posłów i kilku senatorów. Potrzebne quorum obrad sejmu było określone uchwałami z dn. 19 i 26 lutego 1831 r. na 33 osoby. Na wezwanie Romana Sołtyka zebrało się w Paryżu w styczniu 1832 r. 18 posłów i 1 senator. Postanowiono w wyniku obrad nieoficjalnych, tzw. „familijnych", zabezpieczyć papiery sejmowe oraz wezwać posłów przebywających w Galicji, Dreźnie, Brukseli i Londynie na sesję do Paryża. Przez cały rok trwała robota mobilizacyjna przy cichych początkowo sprzeciwach czartoryszczyków i Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Natomiast leleweliści ze swym wodzem (Lelewelem) oraz wojewoda Antoni Ostrowski parli do wznowienia na emigracji legalnych obrad sejmowych z chwilą zebrania ustawowego kompletu posłów i senatorów łącznie. Lelewelowi chodziło głównie o to, aby po rozpędzeniu przez władze Komitetu, poprzez sejm uchwycić władzę nad emigracją; Antoniego Ostrowskiego pchała do sejmowania zwykła próżność rodowa, brat jego bowiem, Władysław, internowany przez Austriaków w Gratzu, był marszałkiem sejmu 1830/31 r.

3 stycznia 1833 r. zgromadziło się w Paryżu 34 posłów i senatorów, zaczęła się ożywiona dyskusja nad tym, czy Sejm ma obradować legalnie, czy familijnie. W dwa dni później, gdy przewodniczący obrad Ostrowski oznajmił kompletowi, iż zgodnie z uchwałą 19 posłów, czyli większości, otwiera legalne obrady, nastąpił rozłam. 11 czartoryszczyków w obawie przed supremacją lelewelistów zaprotestowało na piśmie przeciw tej uchwale i usunęło się od narad, dekompletując skład sejmu. Na nic zdały się zabiegi Lelewela i Ostrowskiego, zmierzające do zebrania ustawowego kompletu lub uzupełnienia go przez deputowanych, którzy byliby wybrani przez sejmiki wychodźcze; na nic piękne, deklamatorskie enuncjacje Adama Mickiewicza, który pragnął sejmowi na emigracji nadać charakter Izby prawodawczej uciśnionych ludów Europy — sejm emigracyjny nie doszedł do skutku, umarł w kolebce. Przeciw sejmowaniu na emigracji wypowiedziało się zdecydowanie Towarzystwo Demokratyczne Polskie, lecz z innych niż czartoryszczycy powodów. Karbonarzy-demokraci spod skrzydeł Krępowieckiego nie uznawali sejmu za reprezentację całego narodu, lecz jedynie za organ jego uprzywilejowanej cząstki — szlachty. Demokraci nie mogli wybaczyć sejmowi, że podczas powstania „w gabinetach i zaręczeniach umów wiedeńskich jedynego ratunku dla sprawy ojczystej szukał", że ogłosił się ze strachu przed królami Europy monarchię konstytucyjną, że „wykopał grób polskiemu powstaniu" i „rzecz publiczną zgubił". Głos ten pozbawił uroku zasnutą nimbem urojonej wielkości postać kadłubowego sejmu.

„Długo wołano na rozproszonych członków obu Izb, żeby złożyli na ziemi francuskiej tę arkę narodową, którą unieśli z domu niewoli... wśród mordującego pasowania się zdań różnych, wieko arki podniesione już na wpół zapadło z trzaskiem. Za drzwiami obrad zniecierpliwiona publiczność emigracyjna wydała okrzyk, że ta poważna skrzynia — jest pusta" — tak zamknął charakterystykę sejmu na emigracji Feliks Wrotnowski w „Kalendarzu Pielgrzymstwa Polskiego" na rok 1839 (str. 72).

Nieudana wyprawa partyzancka Zalityskiego do Królestwa Polskiego (marzec 1833), nieudane powstanie we Frankfurcie nad Menem (kwiecień 1833), któremu na pomoc pośpieszyli polscy karbonarzy z Besançon, Dijon, Salins, Vesoul i Luxeuil w liczbie 500, lecz zostali zatrzymani w Szwajcarii („Hufiec Święty"), awanturnicza wyprawa kilkudziesięciu z nich z namowy Włocha Mazziniego do Sabaudii (luty 1834), wreszcie stłumione okrutnie przez wojska liniowe powstanie kwietniowe 1834 r. w Lyonie i Paryżu osłabiło wśród wychodźstwa polskiego na Zachodzie wiarę w rewolucję europejską, od której uzależniano niepodległość Polski. Pod wpływem Maurycego Mochnackiego i Joachima Lelewela emigracja zaczyna liczyć wyłącznie na siły własne narodu i stara się je rozbudzić przez propagandę rewolucyjną w kraju. Na tę drogę wkracza również najbardziej kosmopolitycznie nastrojone spośród istniejących ugrupowań emigracyjnych Towarzystwo Demokratyczne Polskie, co znajduje wyraz w haśle: „Przez Towarzystwo dla Polski, przez Polskę dla ludzkości". Pod wpływem zawiedzionych nadziei w powszechną rewolucję potężniała wśród emigracji wiara w Polskę i jej najsilniejszą ostoję, siłę w uśpieniu — masy ludowe.

Witold Łukaszewicz

Maria Staromyska-Hessenowa

Rozmowa z Marychą z Rękawca

Marycha z Rękawca jeszcze w kwietniu zeszłego roku opuściła swoją wieś rodzinną. Z młodzieży rękawieckiej nie pierwsza ona tak zrobiła i pewnie nie ostatnia.

„Ojciec się ze mną spierali, że nie puści do Łodzi, ale ja rankiem wyszłam z domu, wszyscy spali jeszcze i tyle mi zrobili! Tylko, że się ze mnie po drodze do stacji ludzie z naszej wsi śmieli, bo leciałam bez butów, ino w tuchciach *).

Marycha ma niecałe 18 lat, jest duża, ładna i silna. Jak sama stwierdza — wyruszyła do Łodzi, żeby się czegoś nauczyć.

„Z naszej wsi co lepsza młodzież to już dawno wyjechała: — jedni na zachód, jedni do Łodzi, lub gdzie indziej.

Marycha skończyła zaledwie trzy oddziały tej szkoły. „Więcej nam kazali wtedy ziół zbierać po łąkach, niż się uczyć, a zimą też często szkoła była zamknięta, bo Niemcy tam swoją policję kwaterowali".

Marycha jest właściwie powrotną analfabetką, Przed paru miesiącami nie posiadała żadnych wiadomości z historii, geografii. Nie wiedziała, że Warszawa jest stolicą Polski, nie rozumiała znaczenia stolicy. Nie wiedziała też, że Warszawa leży nad Wisłą. „Zachód", gdzie sporo ludzi z okolic Rękawca jeździ, nie kojarzył się jej ze stronami świata, których na mapie Polski nie była w stanie pokazać. Nie znała nazwiska obecnego Prezydenta Państwa.

— Dlaczego po skończeniu wojny nie uczyłaś się?

— We wsi przez dwa lata po końcu wojny nie było nauczyciela, to gdzie my mieli się uczyć — później był. Ale teraz to przecież i tak już bym do szkoły nie poszła razem z małymi dzieciakami. Chciałam się uczyć, pisałam dużo w zeszytach, to, co mi do głowy przyszło — ale później sama nie mogłam odczytać tego, co napisałam, bo wszystko było źle: Mieli „założyć naukę" dla starszych, takich jak ja, bo wszyscy z mego rocznika nic nie umieją — ale jakoś nie wyszło. Nie miał kto pokierować.

— A nie należałaś na wsi do jakiejś organizacji młodzieżowej, przecież chyba mogłaś?

— Tak, należałam do PW, ale krótko, wszystkiego 10 miesięcy. Po 10 miesiącach PW. przeniosło się gdzieś i do nas już więcej nie przyjeżdżało. Wszyscy czekali na niedzielę, na komendanta, co z nami przerabiał ćwiczenia. Jeździliśmy ciężarówką, śpiewaliśmy i zabawy czasami były.

— Czy teraz nie ma żadnej innej organizacji młodzieży w waszej wsi?

— Jest jakaś, co urządza w każdą niedzielę tańce w innej chałupie. Chociaż byłam młodsza od innych dziewczyn, ale mnie brali chłopcy do tańców, dobrze mi szło. Najgorzej było mi wymawiać się od wódki. Strasznie to gorąco tak kręcić się między ludźmi i jeszcze wódkę pić. Na drugi dzień to do południa mnie i moją starszą siostrę Heńkę nie mogli z łóżka spędzić — tak nas zamroczyło. Ale już taki zwyczaj był, co niedziela chodziło się na zabawę.

W pokoju robi się wczesny zmrok, ktoś przekręca kontakt od elektryczności.

— O to i u was jest elektryka, ja się na tym znam — mówi Marycha z rozjaśnioną miną.

— Znasz się, to doskonale, może w Rękawcu macie elektryczność?

— W Rękawcu? — tam pierw chałupy pod ziemię pozapadają się, niż ludzie się zgodzą na założenie elektryki — za głupi są!

— No to skąd się znasz na elektryczności?

— Mam brata na zachodzie! — odpowiada Marycha i szybko zaczyna opowiadać o swej miesięcznej bytności we wsi Lutomie pod Świdnicą. Marycha opowiada jasno, rzeczowo, bez gadulstwa. Główny tok jej opowieści koncentruje się około różnych urządzeń technicznych, które widziała w gospodarstwach tamtejszych.

— Umiem sama naprawić grzałkę elektryczną, umocować krany gwintami, napuścić smarami żniwiarkę i inne maszyny gospodarskie — mówi z taką samą naturalną prostotą, z jaką mówiła, że nie wiedziała, iż Warszawa leży nad Wisłą.

Marycha jest ubrana w grubą wełnianą spódnicę i sweter robiony przez nią samą gęściutko na drutach. Oznajmia, że wszystko umie robić tym sposobem i uszyć też potrafi doskonale. Na zachodzie nauczyła się szyć na maszynie. Maszynę potrafi, naturalnie, całą rozłożyć na części i złożyć z powrotem. Wyczyścić, naoliwić, jak trzeba. Nie ma zamiaru wracać do Rękawca, choć w Łodzi są różne kłopoty.

— Zajrzę tam do nas od czasu do czasu — ale i to niekoniecznie. Zawsze na Rynku Wodnym w Łodzi można się dowiedzieć, co słychać w Rękawcu.

— Jak to na Wodnym Rynku?

— A no od naszych bab z jajkami, przecież każda musi z koszyczkiem, choć raz w tygodniu przyjechać do Łodzi.

Z rozmowy wynika, że Marycha nie lubi tych babskich jazd z koszyczkami. „Przecież to żaden zarobek, a w gospodarstwie tylko strata".

Marycha dużo mówi o życiu wsi rodzinnej, jej uwagi są pełne prostego rozsądku. Niejeden mówca propagandowy chętnie by się nimi posłużył. Marycha widzi konieczność wprowadzenia wielu zmian w gospodarstwie chłopów. „Tak jak jest, to do niczego" — konkluduje.

— Ja sama dlatego uciekłam ze wsi, bo nie mogę patrzyć, jak ludzie są takie ciemne i wszystkiego, co nowe, choćby było najlepsze, boją się.

Marycha dopiero teraz, w Łodzi była pierwszy raz w kinie — opowiada swoje wrażenia z tego pierwszego razu.

— Nic nie rozumiałam, co mówią, bo nie po polsku, a przeczytać też nie mogłam, za prędko się migało. — Nie może opowiedzieć ani treści filmu, ani jaki był jego tytuł. Od tego czasu była kilka już razy, za każdym razem coraz więcej rozumie. Była też w teatrze na „Igraszkach z diabłem" — bardzo się śmiała ze wszystkiego, a najwięcej z „fałszywego" zakonnika.

Czy słucha radia? Tak, ale tylko muzyki. Słowa mówionego nie, zbyt prędko mówią. Gdyby mówili wolniej, dużo wolniej słuchałaby chętnie. Dla nauki.

Marycha ma ręce kształtne, silne, ale całe pokryte kurzajkami. „Nie mogę się ich pozbyć — jeszcze ze wsi przywiozłam — mówi z lekką irytacją — ale to dlatego, że nie mam serca rzucić ich na innego".

— Jakto rzucić na innego?

Marycha wyjaśnia uznany na wsi sposób leczenia kurzajek. Na wąskiej jedwabnej wstążeczce wiąże się tyle supełków, ile ma się kurzajek. Wychodzi się na drogę i rzuca wstążeczkę za siebie z myślą, że ktoś ją podniesie. Naturalnie taki, kto nie wie. I wtedy on to dostaje kurzajek, a ten, kto je miał — traci. Lecz Marycha nie che obarczać swymi kurzajkami kogoś innego — może same znikną.

— Czy naprawdę w to wierzysz?

Marycha się waha. — Ja tam na wiejskie gusła nie zważam, ale z kurzajkami chyba to prawdziwie tak być musi.

*

Marycha pracuje w jednej z większych fabryk przemysłu odzieżowego, wkrótce zostanie prawdopodobnie taśmową na sali młodzieżowej. Majstrowa chwali ją za zręczność, staranność, a przede wszystkim za doskonałą konserwację maszyny. Marycha ma szczególne upodobanie do kręcenia śrubkami, do sprawdzania po kilka razy trybów, do niezmiernie sumiennego czyszczenia każdej części maszyny.

Zabrała się już do solidnej nauki w szkole wieczorowej. Później ma zamiar dostać się do przemysłowej.

Ale to jest problem, którego jeszcze nie może rozstrzygnąć, i który nieraz rozważa. Ciągnie ją bowiem zawodowa szkoła konfekcyjna, a ma również wielką chęć uczyć się na fachowca w przemyśle metalurgicznym. Tylko czy zechcą dziewczynę przyjąć na naukę do przemysłu metalowego?

Początkowa obcość dużego miasta ulatnia się powoli. Marycha czuje się coraz bardziej na swoim gruncie. Pod wpływem szkoły, fabryki, świetlicy budzi się w niej świadomość przynależności do znacznie szerszego środowiska niż jej dawna wioska; wchodzi stopniowo w zwarte kręgi klasy robotniczej.

---

*) Domowe pantofle na grubej podeszwie z materiału.

Paulina Czyżowa

MŁODZI DZIAŁACZE—PUBLICYŚCI NA WSI



Fragment ze zjazdu młodych korespondentów „Nowej Wsi"

W dniach 5—7 marca odbył się w Warszawie I Zjazd korespondentów „Nowej Wsi", tygodnika organu ZMP. Otrzymaliśmy zeń sprawozdania, które warto przemyśleć.

„Nowa Wieś" jest na gruncie zjednoczonej organizacji młodzieży przedłużeniem „Wici", pisma młodzieży wiejskiej, które mając dawniejsze tradycje zdążyło znaleźć na wsi odbiorców w kołach młodzieży zorganizowanej. Trudności nowego pisma są oczywiście wyznaczone przez trudny okres wstępny nowej, zjednoczonej organizacji młodzieży. Trudności te są z pewnością większe na wsi, niż w mieście. „Wici" nawet po okresie demokratyzacji nie wyzbyły się w zupełności tendencyj „odrębności chłopskich", nad czym do końca dyskutowano, pewnej nawet swoistej ludomanii w traktowaniu spraw wsi na odrębnej płaszczyźnie, niż innych zagadnień społecznych.

Toteż, niektórzy starzy działacze wiciowi z konieczności musieli ustąpić nowym, młodszym, często mniej wyrobionym społecznie, ale wolnym od wiciowych błędów. Głównym zadaniem ZMP na wsi stało się od początku wykształcenie nowego młodego aktywu organizacyjnego. Zjazd korespondentów „Nowej Wsi" miał nie inną rolę, jak skrzyknąć najbardziej wpływową część wiejskiego aktywu — korespondentów pisma.

Wśród nazwisk korespondentów, jakie znajdujemy na szpaltach pisma, jest paru znanych nam starszych, zawodowych niemal korespondentów chłopskich pism. Olbrzymia jednak większość uczestników zjazdu stanowi niewątpliwie nowy pod każdym względem narybek. Jest to młodzież gimnazjalna i licealna, studenci wyższych uczelni, nowa inteligencja wsi. „Zawód" korespondenta gazet ma swoją dawną tradycję na wsi, pozostaje w związku z politycznym ruchem ludowym od końca XIX wieku. Korespondent gazety to zawsze bywał nie tylko „pisarz", ale właśnie **działacz**, często człowiek, którego nosiło po świecie, który ze wsi z powodów najczęściej ekonomicznych wychodził *). Nowe pokolenie korespondentów jest to młodzież, zdobywająca prawidłowe już wykształcenie średnie, wychodząca ze wsi **do szkoły**, a powracająca na wieś w funkcjach działaczy. W dyskusjach zjazdu wielokrotnie występował ten problem, problem powrotu na wieś i problem solidarności ze środowiskiem rodzinnym. To przedłuża się bodaj z dobrych tradycji „Wici". Modele: panowie—chłopi, tak jak to ujął kiedyś prof. Chałasiński zalamały się w dwutorowych dążeniach młodego pokolenia chłopów. „Wici" podtrzymywały, nie zawsze słusznie ideologicznie, chłopskość wsi, chłopskość własną i to mimo charakterystycznego konfliktu: starzy — młodzi. Podobnie na zjeździe „Nowej Wsi" stawiano postulat chłopskości: „nie wysferzyliśmy się, nie zachorowaliśmy na pana". Tylko motywy tej „chłopskości" są dla młodych działaczy — studentów i licealistów zupełnie nowe. Że chłopak wiejski w mieście wstydził się własnego ojca, to była zdrada środowiska moralna. Tu chodzi o solidarność społeczną, proletariacką (większość działaczy z grupy małorolnych). Dziś rozdźwięk między młodą i starą wsią ma bardziej **polityczno-społeczny** niż obyczajowy charakter.

Korespondenci są działaczami, którzy w założeniu powinni mieć szerszy niż zwykli praktycy ogląd spraw wsi, którzy siedząc w terenie, lub robiąc systematyczne wypady na wieś umieliby widzieć i wykorzystywać przejawy „nowego" na wsi, tak jak to np. D. Gałaj uchwycił w swoich „22 spadkobiercach" we „Wsi". Krytyka korespondencji, jaka wyłoniła się z dyskusji, pokrywa się z tym, co istotnie widzimy w „Nowej Wsi". Pismo dobre w części informacyjno-politycznej pora się z niecierpliwością publicystyki, młodych korespondentów, czasem i z frazeologią, i pseudo-marksistowską sztampą wypowiedzi „ideologicznych", tych pisarzy ze szkolnej ławy lub na odmianę z pesymizmem korespondencji, których konkretne chłosty społecznie szkodliwych wydarzeń na wsi są za wąskie w wyjaśnieniach.

Sprawa kształcenia aktywu „pisarskiego" jest więc dla ZMP na wsi pilna i ważna. Wiele mówi tu fakt, że redaktor „Nowej Wsi" ocenia, jak dotąd, wyżej korespondencje współpracowników po 4—5 klasach szkoły powszechnej, niż te „gimnazjalne". Zapewne, gra tu rolę większe doświadczenie społeczne siedzących na wsi i zainteresowanych bezpośrednio w życiu wsi.

W każdym razie pomysł skierowania młodzieży gimnazjalnej i licealnej na robotę oświatową na wieś, pomysł wysuwany już kiedyś u nas (J. A. Król — „W promieniu 50 wsi") został tu w części praktycznie zrealizowany. Od siły ideologicznej członków organizacji i ich wiedzy zależeć będzie wynik tej ważnej roboty. Ważnej również w zakresie wprawienia szerokiego kręgu młodzieży licealnej w próby pisarskie, nie ograniczone do „szkolnych ćwiczeń" (dla tzw. szkolnych pism) i egotycznych wzruszeń z okresu dojrzewania ale przeciwnie, przenoszone w praktykę i doświadczenie społeczne wsi, wymagające odpowiedzialności działacza, jego orientacji społecznej i sztuki praktycznych rozwiązań.

*) Patrz art. Anny Kamieńskiej „Kultura drukowana" „Wieś" 1948 Nr 13—14.

Krzysztof Sławiński

NOWE DROGI

Pierwszy tegoroczny numer „Nowych Dróg" prezentuje się wyjątkowo bogato. Można by wymienić chociażby przemówienie prezydenta Bieruta na Kongresie PZPR, referat Romana Zambrowskiego w sprawie sytuacji na odcinku młodzieżowym, ciekawy artykuł min. Henryka Golańskiego na temat inteligencji technicznej, artykuł Stalina „W sprawie rządu robotniczo - chłopskiego", artykuł prof. Adama Schaffa o Kazimierzu Kelles-Krauz, artykuł wybitnego ekonomisty amerykańskiego, Jamesa A. Allena „W sprawie kapitalizmu państwowego i socjalizmu" i wiele innych, by dać obraz różnorodności materiału w nowym numerze czołowego teoretycznego organu PZPR.

Byłoby oczywiście techniczną niemożliwością omówić wszystkie sprawy zawarte w 1 (13) numerze „Nowych Dróg". Zatrzymamy się więc tylko nad niektórymi. Przede wszystkim więc artykuł Stalina. Porusza nader istotne i skomplikowane zagadnienie charakteru rządu i państwa w okresie dyktatury proletariatu. Stalin udziela odpowiedzi na pytanie: czy rząd w okresie dyktatury proletariatu jest rzeczywiście rządem robotniczo-chłopskim, czy też hasło rządu robotniczo-chłopskiego ma charakter wyłącznie agitacyjny? Stalin zbija w sposób zdecydowany drugą tezę. „Nie wolno stawiać zagadnienia tak, jak stawiają je niektórzy towarzysze: „rząd robotniczo-chłopski faktycznie czy też jako hasło agitacyjne" — pisze. — Nie wolno mówić, że chociaż w rzeczywistości nie mamy rządu robotniczo-chłopskiego, mimo to możemy mówić o rządzie robotniczo-chłopskim, jako o haśle agitacyjnym. Przy takim postawieniu sprawy wynika, że partia nasza może wymagać hasła zawierającego fałsz wewnętrzny, które w rzeczy samej są bezpodstawne, w które partia sama nie wierzy, ale które partia mimo to rzuca, aby oszukać masy. Tak postępować mogą eserowcy, mieńszewicy, burżuazyjni demokraci, gdyż rozbieżność między słowem a czynem i oszukiwanie mas jest jednym z głównych środków, których imają się te obumierające partie. Ale nigdy w żadnych warunkach nie może w ten sposób stawiać zagadnienia nasza partia, gdyż jest ona partią marksistowską, partią leninowską, partią rozwijającą się, czerpiącą swe siły z tego, że jej słowo nie mija się z czynem, że nie oszukuje mas, mówi masom jedynie prawdę i buduje swą politykę nie na demagogii, lecz na naukowej analizie sił klasowych".

Należy więc stawiać sprawę tak, że albo rząd robotniczy nie istnieje, a wówczas tego rodzaju hasło jest zbędne i fałszywe — albo istnieje i odpowiada faktycznemu układowi sił klasowych i wówczas jest hasłem słusznym i rewolucyjnym.

W dalszym toku wywodów Stalin, powołując się na Lenina mówi, że państwo dyktatury proletariatu jest władzą jednej klasy, mianowicie proletariatu, z drugiej jednak strony „dyktatura proletariatu jest to szczególna forma sojuszu klasowego między proletariatem, awangardą mas pracujących, a licznymi nieproletariackimi warstwami mas pracujących (drobna burżuazja, właściciele drobnych warsztatów, chłopstwo, inteligencja itd.).

Czy istnieje sprzeczność między tymi dwiema formułami? Oczywiście, że nie. W jaki sposób osiąga się w takim razie władzę jednej klasy (proletariatu) w warunkach sojuszu klasowego, powiedzmy, z podstawową masą chłopstwa? Na drodze urzeczywistnienia w tym sojuszu kierowniczej roli stojącego u władzy proletariatu („awangarda mas pracujących). Władza jednej klasy, klasy proletariuszy, realizowana przy pomocy sojuszu tej klasy z podstawową masą chłopstwa drogą państwowego kierowania tym ostatnim, — oto zasadnicza myśl tych dwóch formuł...

To samo trzeba powiedzieć w sprawie rządu robotniczo-chłopskiego. Jakaż może być sprzeczność w tym, że proletariacki charakter naszego rządu i wypływające stąd zadania socjalistyczne nie tylko nie przeszkadzają mu, lecz wręcz przeciwnie, pobudzają go, nieodzownie pobudzają do prowadzenia polityki zachowania i umacniania sojuszu robotniczo-chłopskiego, jako najważniejszego środka realizacji socjalistycznych, klasowych zadań dyktatury proletariackiej w naszym chłopskim kraju, że wobec tego rząd ten nazywa się rządem robotniczo-chłopskim?

Czyż nie jest jasne, że Lenin miał słuszność przeprowadzając hasło rządu robotniczo-chłopskiego i określając nasz rząd jako rząd robotniczo-chłopski?"

Tak więc Stalin w sposób jasny i precyzyjny motywuje i uzasadnia, że rząd w okresie dyktatury proletariatu ma charakter robotniczo-chłopski.

Min. Golański w swym artykule analizuje nader ciekawe zagadnienie inteligencji technicznej. Naprzód kreśli krótką historię lat poprzednich — roli inteligencji w ustroju kapitalistycznym. Następnie kreśli wielką perspektywę, jaką stawia plan 6-letni na polu wykształcenia nowych kadr inteligencji technicznej.

„Wytyczne planu 6-letniego stwierdzają — pisze — że w okresie sześciolecia winno zostać przeszkolonych w zawodach nierolniczych ponad 800—900 tysięcy robotników, od 80—100 tysięcy techników, i około 24 tysięcy inżynierów".

Jakimi metodami można uzyskać te wielkie liczby?

„Widzimy trzy drogi:

1. Z szeregów inteligencji technicznej, tkwiącej dziś w aparacie wytwórczym, przez kształcenia części kroczącej w jednym szeregu z klasą robotniczą na taką inteligencję, która poczuje się przynależną do tej klasy, która fakt powiązania swego z klasą robotniczą uzna za swe zadanie życiowe i awans społeczny.

2. Wychowanie nowych i coraz liczniejszych kadr naszej młodzieży robotniczej, młodzieży ze środowiska mało- i średniorolnego chłopstwa. Ta młodzież po przejściu przez rozbudowany system szkolenia zawodowego, zapewniający rzetelną wiedzę, opartą o marksizm i leninizm, uzbrojona w wiadomości techniczne w takim zakresie, w jakim to jest niezbędne dla danego zawodu i poziomu wykształcenia, ta młodzież przepojona duchem walki o realizację socjalizmu w Polsce zapewni nam zwycięstwo.

3. Uruchomienie dostępnych dźwigni dla rozszerzenia, pogłębienia i wydatnego przyśpieszenia procesu awansu społecznego robotników. Musi być dokonany przełom w akcji wysuwania robotników na stanowiska kierownicze, w uzbrajaniu wysuniętych robotników w niezbędne wiadomości techniczne i wiedzę ogólną".

Postawione przez min. Golańskiego zagadnienie jest nader istotne. Oznacza ono z jednej strony zasadniczą zmianę naszej struktury gospodarczej z rolniczo-przemysłowej na przemysłowo-rolniczą, powtóre, utorowanie drogi awansu społecznego licznym rzeszom młodzieży wiejskiej i robotniczej, oraz likwidację utajonego bezrobocia na wsi.

Prof. Adam Schaff w artykule o Kazimierzu Kelles-Krauz — obnaża kursującą jeszcze wśród niektórych odłamów naszej inteligencji mit, jakoby Kazimierz Kelles-Krauz był reprezentantem rewolucyjnego marksizmu i konsekwentnego materializmu historycznego. W szczegółowej analizie, opartej o pisma Kelles-Krauze udowadnia jego oportunistyczno-reformistyczną pozycję społeczną i polityczną, a przy tym wykazuje idealistyczny charakter jego poglądów filozoficznych i historycznych.

Należy jeszcze podkreślić ciekawy artykuł Jamesa A. Allena „W sprawie kapitalizmu państwowego i socjalizmu". Artykuł ten jest samokrytyką znanego ekonomisty amerykańskiego. Stwierdza w nim autor, że poglądy jego na temat kapitalizmu państwowego w krajach demokracji ludowej, wyrażone przezeń w książce „World Monopoly and Peace" są błędne. Poglądy te spotkały się z krytyką organu KCWKP(b) „Bolszewik". Allen uznał słuszność krytyki i w tym właśnie artykule koryguje swe błędy.

Artykuł Allena jest dowodem wielkiej roli, jaką odgrywa marksistowska krytyka i samokrytyka.

Pokrótce omówione problemy nie wyczerpują wszystkich zagadnień zawartych w nowym numerze „Nowych Dróg". Jest to numer — powtarzamy — nader ciekawy i bogaty.

Aniela Wyręba

A JEDNAK OBRONA KAPITALIZMU

K. Piwarski kończy swój artykuł o „Kryzysie francuskim" („Wieś" Nr 10. 49 r.) zdaniem: „Z ciężkiego kryzysu może ją (Francję) wydobyć, może ją ocalić jedynie lud francuski, pod przewodem klasy robotniczej".

W równoległym numerze Tygodnika Powszechnego ks. Karol Wojtyła w artykule pt. Mission de France pisze „Ruch wewnętrznych misji nie wyrósł tam (we Fracji) ani z teorii, ani z doświadczenia — wyrósł z konieczności życia, jego realnych warunków".

O cóż chodzi ks. Wojtyle? Cóż to za misja? Otóż dla ks. Wojtyły, w momencie gdy Francja wre od wewnętrznych walk, najważniejsze jest odrodzenie Kościoła katolickiego, jako „zbiornika kultury katolickiej, zasilającego nie tylko Francję, ale cały katolicyzm".



Cóż to jest „Mission de France"? Ruch apostolski, istniejący we Francji od **1940 r.** Celem jego — powrót świata katolickiego do stosunków „prostoty ewangelii, do jej ducha i żarliwości". Jego twórcy „rozumieją, że wygasa pewien typ kultury, że wiele tradycji ongiś żywych stało się już tylko pustym dźwiękiem. Przewidują więc i planują. Plan ten polega głównie na tym, by w narastające życie i jego nowe formy wprowadzić zasady ewangelii. Na tym polega główne działalność francuskich placówek misyjnych. Nie jest to działalność oporu, sprzeciwu, działalność „anty" — przeciwnie, jest to działalność pozytywna, konstruktywna, dążąca do budowania. Uwzględnia ona wymogi dzisiejszego życia, dzisiejszej psychiki, dzisiejszych warunków. Wszystkie te zmiany usiłuje wciągnąć w orbitę ewangelii i tak dąży do wytworzenia nowego typu kultury chrześcijańskiej".

Jakie są drogi do tej nowej kultury?

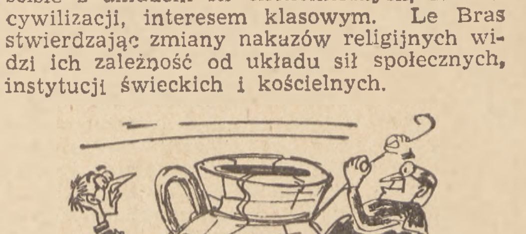
„Ks. Godin był apostołem paryskich przedmieść, tam przejął sposób życia ich mieszkańców, stał się do nich podobny we wszystkim. Różnił się tylko jednym: pełnym, osobistym posiadaniem ewangelii".

Inni księża postępują podobnie. Wchodząc między robotników, sami stają się robotnikami. Przyjmują ich stopę życiową, nawet trochę niższą. Nie biorą opłat za posługi liturgiczne. Wszystko to pięknie. Ale autor twierdzi, że we Francji 90 proc. katolików jest praktykujących, więc po co te mocne zdania: nawracanie współczesnych pogan, zapobieganie spoganieniu? Obrona przed... **„materializmem"**? Po co to wszystko?

Ks. Wojtyła wyjaśnia. „Ale niezależnie od tego, czy sposób ten misji apostolskich jest słuszny, czy nie, musimy skonstatować fakt, że jest to na pewno jedno z owych żywiołowych objawień się Ducha Bożego, który nieustannie ujawnia się w życiu Kościoła, coraz nowe, dotąd nie przeczuwane ukazując ścieżki drogi".

I dalej, w tym samym stylu, zupełnie „apolitycznie". A jednak... za mistyką, wtajemniczeniem i pochwałą ubóstwa, czyż kryje się tylko negacja świata i zwrócenie oczu na życie pozaziemskie?

Francuski socjolog Gabriel le Bras od kilku lat przeprowadza badanie nad stanem katolicyzmu i ewolucją prawa kanonicznego we Francji. Jego dotychczasowe badania wykazały, że religijność Francuzów — my wiemy, że nie tylko Francuzów — związana jest ściśle z układem sił ekonomicznych, stanem cywilizacji, interesem klasowym. Le Bras stwierdzając zmiany nakazów religijnych widzi ich zależność od układu sił społecznych, instytucji świeckich i kościelnych.



Postępowe mieszczaństwo wielkiej rewolucji francuskiej odeszło od Kościoła — zagrożone w swych interesach przez proletariat w XIX w. wróciło na jego łono.

Le Bras stwierdza z całą pewnością, że w wieku XIX Kościół był na usługach kapitalizmu.

A co w wieku XX?!

Jak nazwać narzucanie i pochwałę nędzy i ubóstwa?

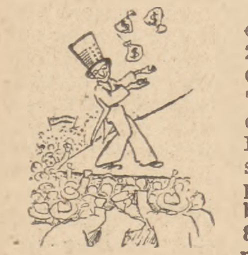
Propozycją pod adresem robotników (bo przede wszystkim o nich i o chłopach mowa w artykule) na godzenie się z ciężkim materialnym losem? Głoszenie upadku materializmu — czyjego?

Działalność nie oporu, nie sprzeciwu — wobec jakich klas, jakiego ustroju? Zaiste jest to działalność konstruktywna — podobna do roboty druciarzy — drutowanie pękającego systemu kapitalistycznego. W języku bardziej politycznym oznacza to misję ujarzmiania mas ludowych Francji na rzecz kapitalizmu.

FAKTY i ZDANIA

Miłe złego początki

W Stanach Zjednoczonych istnieją ekonomiści — wróżbiarze, którzy trudnią się przepowiadaniem koniunktury gospodarczej. Ostatnio 34 takich uczonych wywróżyło w specjalnej ankiecie bardzo pomyślny rok dla USA. Oto niektóre tylko przewidywania: wartość amerykańskiej produkcji za rok 1949, licząc brutto spadnie na 256 miliardów dolarów w stosunku do 240 miliardów dolarów z roku 1948. Natomiast liczba bezrobotnych wzrośnie z 1.800.000 ludzi w 1948 roku na 2.500.000 (nie licząc częściowo lub dorywczo zatrudnionych). Wskaźnik cen artykułów rolniczych spadnie z 270 w 1948 r. na 250 w bieżącym ale zbyt towarów na rynku wewnętrznym zmniejszy się ca 8 proc.



Komu więc wywróżyli ekonomiści dobry rok? 2.500.000 bezrobotnym? Chyba nie. Farmerom? Także nie, choć zapowiada się dobry urodzaj. Może przeciętnemu konsumentowi? Także nie, ponieważ jego siła nabywcza zmniejszy się o 8 proc. w stosunku do minionego roku. Zatem tylko wielkim kapitalistom, którzy rok rocznie rozpisują i opłacają ankietę wypełnianą przez ekonomistów - wróżbitów. A wróżbici kłamią dosłownie jak — najęci. Wiadomo bowiem, np., że stan ogólnego zatrudnienia w USA obniżył się z 61,1 milionów w 1946 do 57,6 milionów w styczniu br. To znaczy, że obecnie mamy już nie 2,5 mil., ale 3,5 miliona bezrobotnych. I wiadomo również, że Stany Zjednoczone zbliżają się do kryzysu gospodarczego, który nieuchronnie wynika ze sprzeczności w kapitalistycznej gospodarce. Nawet osławiony plan Marshalla nie rozwiązuje tych sprzeczności. Bo wiadomo — kryzys wisi już nad Francją, Belgią, Holandią i Włochami.

Fakt, że nawet jeszcze w bieżącym roku (choć trudno sprawę przesądzić) amerykańscy monopoliści wyładują sobie kieszenie dolarami nie odsunie ani na trochę widma kryzysu ekonomicznego. Można by przypomnieć przysłowie: „miłe złego początki".

J. S.

Dlaczego?

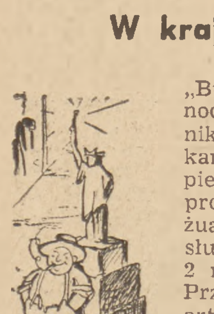
„Dlaczego marnują się narzędzia pracy w chorzowskiej kopalni „Barbara — Wyzwolenie" — zapytuje „Trybuna Ludu" z dnia 14 marca br. Za bramą szybu „Barbara" leży kilkadziesiąt zwojów drutu, który ma być użyty do budowy magazynu. Drut zardzewiał... Pod sortownią... leży spora góra żelastwa pokryta obecnie śniegiem. Żelazo to wyjeżdża z kopalni razem z węglem... są to nawet narzędzia pracy, jak kilofy, łopaty... „To" leży..."

Jednocześnie w tym samym numerze „Trybuny Ludu" czytamy artykuł inż. Jana Czarnowskiego pt.: „Inżynierowie i technicy w walce z marnotrawstwem". Czytamy tam: „Maksymalne obniżenie kosztów produkcji, oszczędne zużywanie surowca i materiałów pomocniczych, racjonalna eksploatacja maszyn, walka z wszelkimi przejawami marnotrawstwa w każdej dziedzinie życia gospodarczego — to jedno z czołowych, jedno z najbardziej bojowych zadań, które przed inżynierami i technikami stawia Rząd i Partia".

Uchwała Rady Ministrów o wprowadzeniu planowego systemu oszczędzania w gospodarce narodowej nie jest „nakazem" mechanicznego oszczędzania — ale reguluje stosunek człowieka do instytucji, do pracy. — „Oszczędzanie" to jedna z form walki przeciw klasowo obcym, spekulacyjnym i antyludowym elementom. Dlatego pytanie „Trybuny Ludu" — „dlaczego" nie powinno zawisnąć w próżni, ale rozciągnąć się i daleko poza kopalnię „Barbarę — Wyzwolenie", tam wszędzie, gdzie pod tą czy inną postacią zdołał się przecisnąć wróg klasowy.

Z. A.

W kraju „wolności"



Słuchaczom londyńskiego „Bum, bum, bum, bum" i jednocześnie obrońcom i zwolennikom tzw. „wolności amerykańskiej" polecam dla pokrzepienia ducha lekturę artykułu prof. Dr M. L. Szyfmana „Burżuazyjny sąd naszych dni w służbie reakcji", ogłoszonego w 2 numerze „Demokratycznego Przeglądu Prawniczego". Tezą artykułu jest (oczywiście panowie „bum, bum", lekko się teraz skrzywią), **że sąd burżuazyjny zawsze był narzędziem walki wyzyskiwaczy przeciwko pracującym.** Jako uzasadnienie tej tezy, na przykładach jurysdykcji sądów amerykańskich, angielskich, francuskich, grecko - faszystowskich zmaże ten krzywy uśmiech z twarzy naszych interlokutorów. Bo posłuchajmy tylko jednego wycinka (akcja toczy się w USA):

1) za udział w ruchu postępowym „na południu w ciągu ubiegłego roku zlinczowano kilkuset Murzynów";

2) w Haarlem w ciągu ostatnich miesięcy policja bestialsko skatowała siedemnastu Murzynów;

3) w marcu 48 r. w mieście Mobil (stan Alabama) 20-letni Miller zabił Murzyna Dawesa za wypowiedzenie opinii, że w ostatecznym rezultacie Murzyni w USA otrzymają równe prawa;

4) za jazdę pociągiem rzekomo bez biletu obsługa kolejowa zastrzeliła weterana ostatniej wojny światowej Murzyna George Serrela;

5) w stanie Georgia Murzynka, Rosa Ingram i dwaj jej synowie 14 i 17 letni chłopcy zostali skazani na śmierć za to, że „usiłowali obronić swoją matkę przed kulą białego sąsiada".

Itd., itd., mnożyć można przykłady „wolności amerykańskiej", przykłady, w których zawsze biały morderca jest przez sąd uniewinniony. Nic dziwnego. Prof. Szyfman stwierdza, że te fakty bezprawia są tylko politycznym preludium do przygotowywanego na ogromną skalę ataku na demokratyczne elementy w USA.

Czy nie miał racji poeta murzyński, kiedy w kołysance dziecięcej użył porównania białego człowieka zamiast wilka?

Z.

W obronie pokoju

Dnia 20. IV. rozpoczną się w Paryżu obrady Światowego Kongresu w Obronie Pokoju. Codziennie napływają do biura Kongresu nowe zgłoszenia, akces zgłaszają związki zawodowe, masowe organizacje demokratyczne, organizacje młodzieżowe, związki byłych kombatantów, zrzeszenia intelektualistów. Narasta w oczach olbrzymi front pokoju, łączący ludzi pracy i nauki **całego świata.** Jakich wyników mamy oczekiwać od kongresu, który reprezentuje interesy, pragnienia i nadzieje olbrzymiej większości ludzi i narodów świata?



„Dwa podstawowe czynniki — stwierdza jeden z przedstawicieli polskiej nauki na kongres, prof. U. Ł. dr Józef Chałasiński — stwarzają realne podstawy dla akcji w obronie pokoju. Pierwszym jest fakt, że akcja przeciwwojenna w różnych krajach zyskuje ogromnie na sile przez to, że znajduje oparcie w Z.S.R.R. i w krajach demokracji ludowej. Drugim czynnikiem jest fakt, że nawet w krajach kapitalistycznych, **historyczny proces demokratyzacji postąpił już tak daleko, że dla wojny potrzeba moralnej aprobaty narodu.**

Wiadomo, jak istotną rolę odgrywa w nowoczesnych wojnach propaganda, mająca przekonać naród o potrzebie i celach wojny. Propaganda ta ma na celu zdobycie moralnej aprobaty narodów dla wojny. **Bez aprobaty tej wojny prowadzić nie można.**

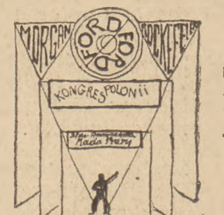
Światowa akcja obrony pokoju może się temu skutecznie przeciwstawić".

„Aprobaty na wojnę milionowe rzesze ludzi pracy odosobnionej klice imperialistów — nie dadzą i będą walczyć w obronie pokoju.

g.

Znasz-li ten kraj?

Cytujemy pismo — „Dziennik dla wszystkich" z lutego b. r.: „...dwie wielkie unie należące do CIO, a to: unia krawców męskich i robotników przemysłu automobilowego (UAW), na czele której stoi W. Reuther, postanowiły nie domagać się podwyżki zarobków. Takie samo stanowisko zajęła unia robotników przemysłu tekstylnego. W ten sposób tzw. front czwartej podwyżki, który niedawno zarysował się bardzo wyraźnie w uniach robotniczych, został złamany... Podwyżka płac pociągnęłaby podwyżkę cen... Wyścig cen i płac nieuchronnie prowadzi do inflancji... Robotnicy, ba, nawet zarządy unii nie zdawali sobie sprawy z tego, co kryje się za popularnymi i na pozór naturalnymi hasłami podwyżkowymi".



W jakim to kraju uważa się, że walka robotników o wyższe zarobki prowadzi do ich własnej ruiny? W Stanach Zjednoczonych. A cóż za ekonomista pisze te słowa? Alojzy Adamczyk, WRN-owiec, zbiegły z Polski, obecnie kierownik agencji prasowej — Polsko-Amerykańskiej Rady Pracy, prawa ręka „socjalisty" Zaremby. Pismo finansuje Rozmarek, prezes Kongresu Polonii, a Rormarka — Morgan, Rockefeller i Ford.

Jakie są skutki tej zabawy w WRN-owski „socjalizm"? Realna wartość zarobków amerykańskich (w tym wielu polskich) robotników spadła z początkiem 1949 roku o 30% w stosunku do roku 1945. Natomiast zyski monopoli amerykańskich osiągnęły w r. 1948 zawrotną sumę 21 miliardów dolarów.

Mówią to wszyscy uczciwi ekonomiści w USA, a widzi cały świat.

p. p.

O ZAM-pie i wiejskich szkołach

Do Redakcji „Wsi"

W związku z listem zamieszczonym w 12 numerze „Wsi" z dn. 20.III.49 pisanym przez dzieci ze szkoły w Potulicach, proszę Sz. Red. o zamieszczenie niniejszego listu.

Bardzo mnie wzruszyła prośba dzieci, które chcą, aby ich szkoła nie była gorsza od innych, ale nie zawsze mogą sobie same poradzić. Zbieranie kasztanów, szyszek i żołędzi, sprzedawanie ich z przeznaczeniem pieniędzy na potrzeby szkoły, to rzeczywiście godny najwyższej pochwały przykład. Dzieci ze szkoły w Potulicach zdają sobie sprawę z doniosłego znaczenia faktu zjednoczenia obu partii robotniczych i w związku z tym na wzór kopalni Zabrze-Wschód przystępują do wyścigu pracy. Dzieci pragną, aby ich szkoła posiadała także własną bibliotekę, ale książki są za drogie i dzieci nie mogą sobie same poradzić.



Proszą o pomoc.

Uważam to za wielki wstyd dla nas, studentów-zampowców, że dopiero prośba i list dzieci zwracają naszą uwagę na te sprawy. My możemy i powinniśmy bezwzględnie takim dzieciom i szkołom dopomóc. Myślę, że gdyby każde nasze koło wzięło sobie jedną szkołę pod opiekę, dbało o jej potrzeby, organizowało pogadanki dla dzieci, interesowałoby się w ogóle życiem szkoły — nie byłoby więcej takich listów. Sądzę, że leży w naszych możliwościach stworzenie w każdej szkole wiejskiej świetlicy, w której dzieci znalazłyby to, czego im brak. Powinniśmy się bezwzględnie nad tą sprawą zastanowić i znaleźć należyte **organziacyjne** jej rozwiązanie.

Studentka U. Ł.

Aż się wierzyć nie chce

W bieżącym miesiącu odbywają się w Stanach Zjednoczonych narady w sprawie ubezpieczeń społecznych, poprzedzające oficjalne zarządzenia w tej sprawie. Jak wiadomo USA w ogóle nie posiadają ministerstwa zdrowia. Przeciw ubezpieczeniom chorób prowadzona jest odpowiednio finansowana kampania, inspirowana przez Stowarzyszenie Doktorów i fabrykantów preparatów medycznych.

Z budżetu, proponowanego przez prezydenta Trumana wynika, że Stany Zjednoczone przeznaczają dziesięć razy więcej dolarów na doskonalenie sprzętu wojennego (21 miliardów dolarów) niż na walkę z chorobami (2 miliardy 250 milionów dolarów).

Wallace toczy w imieniu Partii Postępowej walkę o opiekę społeczną dla amerykańskiego świata pracy. Zaproponował ostatnio, aby wydatki zbrojeniowe zmniejszyć z 21 miliardów dolarów na 7 a wydatki na opiekę społeczną zwiększyć do 16 miliardów dolarów. Pieniądze te posłużyłyby na wybudowanie 2 milionów domów mieszkalnych, szpitali, ochronek dla tych robotników amerykańskich, o których „się nie mówi". W świadomości wielu mieszkańców „starego świata" utrwalił się obraz amerykańskiego robotnika jeżdżącego własnym samochodem do fabryki. Mniema się, że są robotnicy, zarabiający ponad 5.000 dolarów rocznie, z racji wysokiego zarobku zwolnieni od szeregu podatków, m. in. asekuracyjnego. Natomiast źle wynagradzani robotnicy podatki płacą i płacą też po 200 dolarów za operację u prywatnego lekarza. Innych, wciągniętych w społeczną służbę zdrowia — lekarzy nie ma, bo nie ma społecznej służby zdrowia w Stanach Zjednoczonych. Aż się wierzyć nie chce. A jednak...

x.

Nie jest źle

Sądzę, że życie oświatowe i kulturalne w naszej gromadzie nie stoi na najniższym poziomie Mamy bowiem siedmioklasową szkołę podstawową, do której uczęszczają wszystkie dzieci będące w wieku szkolnym. Przy szkole istnieje także kurs Przysposobienia Rolniczego, na który uczęszcza przeszło czterdziestu chłopców, nie dawno jeszcze biegających ciągle za gołębiami. Z początku trudno było namówić ich do nauki. Skoro jednak przekonali się, że nauka przyniesie im dużo więcej korzyści niż ich poprzednie zajęcie — zaczęli uczęszczać regularnie na kurs. Tu uczą się, jak uprawiać ziemię, jak obchodzić się z nowoczesnymi narzędziami gospodarskimi, jak powstała Polska współczesna i jak się obecnie rozwija. Oprócz tego nauczyciele prowadzą także kurs dla analfabetów. Kurs ten liczy kilkunastu uczniów (przeważnie w wieku ok. 40 lat), którzy nie chodzili do szkoły w wieku szkolnym, bo nie było tam dla nich w międzywojennych latach miejsca. Jest też kilku osiemnasto - i dziewiętnastoletnich, którzy znów nie chodzili do szkoły dlatego, bo na służbie nie było na to czasu Dziś wszyscy ci, dla których nie było miejsca w szkole i ci, którzy nie mieli na naukę czasu — uczą się z wielkim zapałem. Już po dwóch miesiącach nauki czytają dość płynnie, a gdy nauczyciel po skończonej lekcji wychodzi z klasy, proszą go często, aby jeszcze chwilę pozostał z nimi, bo chcą jeszcze dalej czytać. Ponadto w szkole odbywają się w każdą niedzielę tzw. wykłady powszechne. Prelegentami na wykładach są nauczyciele oraz członkowie organizacji politycznych i społecznych. Tematami wykładów są przeważnie wiadomości z historii ruchu chłopskiego i robotniczego oraz z zakresu wiedzy o Polsce współczesnej. Społeczno - oświatowy charakter mają również akademie.

Do bardzo poważnych osiągnięć kulturalnych naszej gromady należy niewątpliwie zaliczyć działalność amatorskiego kółka teatralnego. Do kółka tego — jak każdy się domyśli — należy młodzież miejscowa.

Kółko to dzięki wytrwałej i intensywnej pracy jego kierownika Warwasa Kazimierza, w którego mieszkaniu odbywają się wszystkie bez wyjątku próby oraz prace przy wykonywaniu dekoracyj i kostiumów i dzięki niepohamowanej chęci młodych artystów — wystawiło w roku 1948 szesnaście sztuczek, kilka monologów i dialogów. Powodzeniem cieszyły się szczególnie „Grube ryby" i „Zemsta". Odczuwa się jednak brak aktualnego materiału dla wiejskich teatrów amatorskich. Ponadto kilka przedstawień odegrały dzieci szkolne i harcerze.

We wsi istnieje koło „Czytelnika" mające dwudziestu kilku członków, którzy stanęli ostatnio do konkursu, polegającego na opracowaniu wybranych tematów. Obecnie opracowuje się temat „Co wiemy o powstaniu życia na ziemi". O czytelnictwie pisałem w jednym z poprzednich nr. „Wsi".

Gustaw Tomala,
Rzejowice, pow. Radomsko

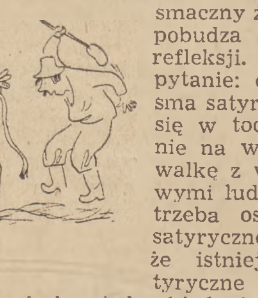
Żądamy ostrej satyry politycznej

Obywatelu Redaktorze!

Jestem prenumeratorem Waszego pisma, czytam „Wieś" uważnie i myślę, że właśnie „Wsi" mogę powierzyć swój żal. Żal do kogo?

W ostatnim, 75 numerze „Muchy" w rubryce, która odgrywa podobną rolę, jak „Camera obscura" w „Odrodzeniu", znalazłem opatrzone „dowcipnym" komentarzem ogłoszenie jednej ze spółdzielni gminnych Samopomocy Chłopskiej, która poszukuje „buchaltera i księgowego od zaraz". Dowcipniś, którego skusiło honorarium 260 zł, komentuje: "jeden zapewne będzie księgował k a r t o f l e, a drugi (dla odmiany) z i e m n i a k i".

Jasne, że chodzi tam o buchaltera i kasjera. Jasne, że we wspomnianej spółdzielni brak sił wykwalifikowanych — ale ci, którzy tearz tam gospodarzą, zdają sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka na nich ciąży i dlatego poszukują odpowiednich sił pracowniczych. I jasne, że zawiniła tu nieco redakcja (administracja) „Ziemi Pomorskiej", która przyjmując ogłoszenie, mogła przecież wygładzić stylistycznie tekst.



Ten niewinny ostatecznie, ale i nie bardzo smaczny żarcik „Muchy" pobudza do głębszych refleksji. Zadaję sobie pytanie: o ile nasze pisma satyryczne włączają się w toczącą się obecnie na wsi i w mieście walkę z wrogami klasowymi ludu? Wsi nie potrzeba osobnego pisma satyrycznego, ale niechże istniejące pisma satyryczne nie popełniają błędów, niech wiedzą, kiedy i jak należy kogoś ukłuć. Żądamy ostrej satyry politycznej, chłoszczącej wrogów klasowych, a nie dowcipów typu „kalendarzowego", tak nieraz przypominającego dawne wystąpienia poprzedników dzisiejszej satyry, występujących w służbie ziemiańsko-klerykalnej. (Ośmieszanie gwary, rzekomego „nieuctwa" itp.).

Jeśli już idzie o tematykę chłopską, polecam „Musze" lekturę ostatniej strony „Chłopskiej Drogi" — poświęconej satyrze. Znajdź tam można humor i zdrową myśl polityczną.

Nauczyciel i księgowy
Spółdzielni Samopomoc Chłopska

W NUMERZE 12 (191) TYGODNIKA „WIEŚ" Z DNIA 20 MARCA 1949 R.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Piotrkowska Nr 133, telefon 100-98.
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ. REDAKCJA RĘKOPISÓW NIE ZWRACA.
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, Piotrkowska 133, telefon 100-98.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 80.— zł; kwartalnie 240.— zł; półrocznie 480.— zł; rocznie 960.— zł.
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII—1080.
Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Łódź, ul. Żwirki 2.
D—032541